

Sąd nad Mussolinim

Pod takim tytułem pojawiła się w Londynie książka anonimowego autora, który użył pseudonimu „Kasjusz”. Stała się ona w Anglii sensacją dnia i w krótkim czasie doczekała się pięciu wydań.

Powodzenie książki jest niewątpliwie usprawiedliwione. Autor maluje proces, w którym rola obwinionego przypadku Mussoliniemu, a w charakterze świadków występują żyjący i zmarli już mężowie stanu Wielkiej Brytanii. Szczególnego posmaku dodaje książce okoliczność, że wszyscy uczestnicy rozprawy sądowej wypowiadają na procesie dosłownie to, co w różnych okresach czasu mówili lub pisali na temat Mussoliniego i jego polityki. Autor pisze we wstępie:

„Oświadczenia składane na kartach tej książki przez długi szereg świadków są autentyczne, co w każdej chwili może być potwierdzone przez wycinki z pism. Ludzie biorący udział w procesie to postacie autentyczne. Niektóre z nich musiały być przez autora wskrzeszone z martwych, chociażby o to, aby żadna ważniejsza okoliczność, mająca związek ze sprawą, nie uszła uwagi sądu.”

Po wstępnych przemówieniach prokuratora i obrońcy przesuwa się przed sądem w ciągu pierwszych pięciu dni procesu następujący świadkowie: Austin Chamberlain, w latach 1924—1929 angielski minister spraw zagranicznych, znany magnat prasowy lord Rothermere, znany dziennikarz angielski, współpracownik „Daily Mail” Ward Price, pisarz niemiecki Emil Ludwig, premier angielski w latach 1937—1940 Neville Chamberlain, angielski minister spraw zagranicznych w latach 1932—1935 John Simon, angielski minister spraw zagranicznych w roku 1935, w okresie obecnej wojny ambasador angielski w Hiszpanii sir Samuel Hoare, angielski minister spraw zagranicznych w latach 1938—1940, obecnie ambasador angielski w Stanach Zjednoczonych Halifax, członek gabinetu Chamberlaina Amery, były minister w gabinecie Chamberlaina, obecnie ambasador angielski w Paryżu Duff Cooper, były minister wojny w gabinecie Chamberlaina Hore Belisha, lord Lloyd i lord Mattiston.

Wymienieni świadkowie, odpowiadając na pytania obrony dają pełną i wyczerpującą charakterystykę polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii w stosunku do faszystowskich Włoch w okresie gabinetu Baldwina — A. Chamberlaina (1924—1929), drugiego gabinetu Mac Donalda (1930—1935), drugiego gabinetu Baldwina (1935—1937) i wreszcie gabinetu Neville Chamberlaina (1937—1940).

Nie jest to oczywiście obraz całej zagranicznej polityki angielskiej w wymienionym okresie. Nie ma w nim np. kwestii tak zasadniczej, jak stosunki anglo-niemieckie, nie ma próby ujęcia szeregu innych zagadnień. Jednak to, co stanowi przedmiot rozprawy ukazuje niezwykle jasno sprężynę polityczną, jakimi kierowała się Anglia w stosunku do Mussoliniego.

Książka Kasjusza jest pamfletem, oryginalnym o tyle, że autor niczego nie wymyślił, wszystko oparł na materiale faktycznym. Dlatego „Sąd nad Mussolinim” robi tak silne wrażenie. Książka trafia do czytelnika łatwiej i mocniej, aniżeli wszelkiego rodzaju rozprawy, poświęcone polityce Anglii we wspomnianym okresie.

W pierwszym swym przemówieniu prokurator wymienia przestępstwa popełnione przez faszyzm i jego przywódcę Mussoliniego. Oto one: dojście do władzy drogą gwałtu, zmiecenie z powierzchni parlamentaryzmu, wojna z Abisynią w latach 1935—1936, zbrojny najazd na Hiszpanię w roku 1936, oraz wojna z narodem hiszpańskim do roku 1939, zdradziecki sojusz z Niemcami w roku 1936, aprobaata wszystkich posunięć Hitlera przeciw narodowi, niezakłócającym pokoju, zdradziecki najazd na Francję w roku 1940 i wreszcie niczym nie uzasadniona agresja przeciw Anglii, Grecji i Rosji, krajom, z którymi Mussolini podpisał pakt o nieagresji. Akt oskarżenia przeciw Mussoliniemu w następujący sposób formułuje jego zbrodnie: „całe życie swoje i energię, wszystkie siły narodu włoskiego, którymi mógł pan dysponować, poświęcił pan na sianie zgłady i zniszczenia, na przygotowywanie najkrwawszej wojny, jaką znają dzieje świata”.

Do spisu zbrodni popełnionych przez Mussoliniego prokurator dodaje jeszcze, że interwencja włoska w Hiszpanii stała w jaskrawej sprzeczności z uroczystymi przyrzeczeniami Mussoliniego, z szeregiem jego półoficjalnych oświadczeń, obietnic i zapewnień.

„W ciągu ostatnich lat, — oświadcza prokurator — ambitne pretensje podśladnego łączyły się z jeszcze większymi i potworniejszymi pretensjami jego ucznia, później zaś jego pana w Berlinie. W marcu 1938 Mussolini wyraził zgodę na zabór Austrii przez Niemcy, choć zaklinał się niejednokrotnie, że będzie bronić niezawisłości Austrii do ostatniej włoskiej kropli krwi. W kwietniu 1939 r. faszystowskie Włochy wdarły się do Albanii. Po wybuchu obecnej wojny podśladny czekał tylko, aż Francja zostanie pokonana. Bez żadnego uprzedzenia, bez najmniejszego powodu, włoska włoskie na rozkaz podśladnego weszły do Francji, żeby łupić i grabić co im wpadło w ręce.”

Obrońca nie kwestionuje przestępstw Mussoliniego, wymienionych przez prokuratora. Nie kwestionuje również ich oceny. Nie może się jednak ograniczyć do samych faktów. Na pierwszym posiedzeniu sądu wzywa na świadka sir Austina Chamberlaina i każe mu opowiedzieć o wizycie, którą Chamberlain złożył Mussoliniemu wkrótce po zabójstwie Matetiego, zbrodni, która wywołała oburzenie w całym cywilizowanym świecie. Obrońca wzywa również lorda Rothermere do zacytowania opinii, jaką wyraził po zdobyciu władzy przez Mussoliniego. Rothermere oświadczył wówczas: „Mussolini zabrał Włochy znajdujące się na skrajnie bolszewizmu, a tym samym uratował cywilizację w zachodniej Europie. W historii XX wieku odegra on prawdopodobnie taką rolę, jaką w początkach wieku XIX odegrał Napoleon”. Lord Rothermere powtarza na rozprawie, iż jest dumny z tego, że „organ jego „Daily Mail” był pierwszą gazetą w Anglii i w całym świecie, która umiała trafnie ocenić osiągnięcia faszystów”.

Obrońca zmusza również dziennikarza Ward Price'a do powtórzenia przed sądem oświadczenia, złożonego w roku 1926: „Stworzenie pierwszej komórki faszystowskiej w Mediolanie w roku 1919 można porównać z przewrotem w religii, jakiego dokonał Luter, przybijając swoich 95 tez u wejścia do kościoła wittenberskiego”.

Analizując przebieg przesłuchania świadków w pierwszym dniu procesu obrońca oświadcza:

„Większa część konserwatywnej opinii angielskiej nie tylko aprobowała ustrój wprowadzony przez podśladnego we Włoszech, ale nie kryła wyraźnej sympatii dla niego... Wedle opinii świadków, oraz tych, których ci świadkowie reprezentują, stworzenie dyktatury faszystowskiej we Włoszech było osiągnięciem, za które podśladny zasługuje nie na osądzenie, lecz na pochwałę.”

Warto przy tej okazji zaznaczyć, że w podobny sposób oceniano kroki Mussoliniego nie tylko do skrzydła partii konserwatywnej, które szło za Nevillem Chamberlainem i aprobowało jego politykę nieinterwencji, co było równoznaczne z popieraniem agresji; faszyzm włoski znajdował również zwolenników wśród wybitnych przywódców partii konserwatywnej, przeciwstawiających się ogólnemu kursowi polityki zagranicznej Chamberlaina. Nieawidze do rewolucji prowadziła tych polityków do wychwalania Mussoliniego za to, że „uratował Włochy od bolszewizmu”. Zdając sobie sprawę z katastrofalnych dla Anglii skutków polityki konszachtywnej z napastnikiem, ludzie ci, kiedy chodziło o Hitlera, gotowi byli przebaczyć Mussoliniemu wszystkie zbrodnie przeciw człowieczeństwu, przeciw ich własnemu krajowi, ponieważ wedle ich zdania zagroził we Włoszech drogę „bolszewizmowi”. Polityka wszechprzebaczenia w stosunku do Mussoliniego skończyła się haniebnie w dniu 10 czerwca 1940 r., kiedy to Mussolini wypowiedział Anglii wojnę.

Obrońca wysnuwa z tego wniosek następujący:

„Gdyby nie było tych wszystkich zachwytów, tych wszystkich serdeczności, gdyby zamiast tego mocarstwa zastosowały do faszyzmu pełny ostracyzm za straszliwe zbrodnie, wymienione przez prokuratora, może podśladny nie byłby w stanie dopuścić się nowych zbrodni, o których mówi akt oskarżenia”

W drugim i trzecim dniu procesu obrońca przechodzi do analizy poszczególnych zbrodni międzynarodowych Mussoliniego. Licznymi cytatami z jego wystąpień i deklaracji obrońca udowadnia, że Mussolini „nie skrywał swych celów w polityce zagranicznej i że cele te były dobrze znane kierownikom angielskiej polityki zagranicznej”. I tak np. zupełnie otwarcie żądał on panowania włoskiego na Morzu Śródziemnym, które nazwał „włoskim jeziorem”. W roku 1927 mówił o tym, że w latach 1935—1940 Europa będzie przeżywała kryzys i że Włochy powinny mieć do tego czasu pod bronią 5 milionów ludzi. W roku 1932 przywódca włoskich faszystów oświadczył publicznie, że dąży do faszystacji Europy. Wynika z tego, że cele Mussoliniego, a przede wszystkim to, że ma zamiar dążyć do ich realizacji drogą wojny, było dobrze znane kierownikom angielskiej polityki zagranicznej. Jeżeli podtrzymywali Mussoliniego i pomagali mu, to nie dlatego, żeby nie wiedzieli, do czego dąży. Jaką więc politykę przeciwstawiali planom Mussoliniego? Obrońca wzywa jako świadka lorda Simona, który oświadcza, że w marcu 1933 r., kiedy był ministrem spraw zagranicznych, podpisany został Pakt Czterech. Mówiąc o tym pakcie, Simon stara się pomniejszyć jego znaczenie. Wtedy obrońca robi ironiczną uwagę, że lord Simon nie jest dostatecznie sprawiedliwy wobec samego siebie i oświadcza:

„Czyż ten pakt nie położył podwalin pod politykę, która później zmartwychwstała w roku 1938 w Monachium? Pośpiech, z którym pan, lordzie Simon i premier Mac Donald, przyjęliście propozycję Mussoliniego, aby pojechać do Rzymu, był dla niego wielkim tryumfem. Wytyczne Paktu Czterech dawały podśladnemu niewątpliwie atuty. Pakt ten wykluczał Rosję z koncertu wielkich europejskich mocarstw. Wywołał on głębokie niezadowolenie na wschodzie Europy i na Bałkanach. Był uderzeniem w prestige Francji i częściowo Polski, która od czasu zawarcia paktu zaczęła realizować w swej polityce orientację niemiecką.”

Zeznania Simona stwierdzają zupełnie wyraźnie, że na konferencji w Stresie (kwiecień 1935), w której oprócz niego brali udział Mussolini, Flamin, Laval i Mac Donald, dano przywódce faszyzmu do zrozumienia, że Wielka Brytania „nie ma żywotnych interesów w Abisynii”, wskutek czego Mussolini może przystąpić do wojny z nią.

Następnie świadek sir Samuel Hoare powołuje się na swoje przemówienie w Lidze Narodów, wygłoszone 11 września 1935. W przemówieniu tym sprecyzował on stanowisko Wielkiej Brytanii w sprawie bezpieczeństwa zbiorowego, oświadcza:

„Liga Narodów i kraj, który reprezentuję, nalegają na to, by przepisy genewskie odnośnie bezpieczeństwa zbiorowego, jasno i wyraźnie sprecyzowane, obowiązywały w całej pełni. Chodzi zwłaszcza o to, aby nie sprowokowana niczym agresja spotkała się ze stanowczym zbiorowym sprzeciwem”.

Sir Samuel Hoare powołuje się na tę mowę jako na dowód, że polityka jego opierała się na zasadach powszechnego bezpieczeństwa. Jednak obrońca zmusza go do przyznania, że w przeddzień wygłoszenia tej mowy, a mianowicie w nocy 10 września, doszło do zawarcia tajnego porozumienia między świadkiem i Lavallem. Obrońca cytuje oświadczenie Laval, który powiedział:

„Zgodziliśmy się od razu co do wyłączenia sankcji wojennych, oraz co do niestosowania blokady morskiej, gdyż nie było konieczności rozpatrywać kwestię zamknięcia Kanału Sueskiego, — słowem zgodziliśmy się w sprawie usunięcia wszelkich kroków, które by mogły doprowadzić do wojny.”

Obrońca cytuje z kolei oświadczenie Mussoliniego, który 27 września 1935 r., po mowie Hoare'a w Lidze Narodów powiedział: „Dobrze wszystko obmyśliłem, dobrze wszystko obliczyłem i rozważyłem”. Należy przypuszczać, oświadcza obrońca, że Mussolini doskonale wiedział nie tylko o oficjalnych groźbach sir Samuela Hoare'a, ale i o jego faktycznym porozumieniu z Lavallem, które groźby te sprowadzało do zera. Obrońca ustala jeszcze jedną interesującą okoliczność: mowa na temat bezpieczeństwa zbiorowego wygłoszona była przez Hoare'a w przededniu wyborów w Anglii. Po wyborach zaś, kiedy odpadła troska o głosy, polityka gabinetu Baldwina była da-

leka od obrony zasady bezpieczeństwa zbiorowego.

Jeszcze bardziej jaskrawy obraz daje badanie świadka Neville Chamberlaina. Odnosi się ono do paktu anglo-włoskiego, podpisanego w Rzymie w kwietniu 1938, w szczególności do zobowiązania przyjętego przez Mussoliniego w sprawie włoskich „ochotników” w Hiszpanii. Z zeznań Chamberlaina i jego ministra spraw zagranicznych Halifaxa wynika, że dla obu ówczesnych kierowników angielskiej polityki zagranicznej zobowiązanie o ewakuacji „ochotników” włoskich było konieczne po to, ażeby bez trudności przeprowadzić w Lidze Narodów uchwałę, w myśl której Abisynia miała przyspaść Włochom. Obrońca ustala, że Mussolini nie wypełnił przyjętego zobowiązania, co stwierdził poseł angielski w Rzymie w sierpniu 1938 t. j. wówczas, gdy Liga Narodów na propozycję lorda Halifaxa uznała zabór Abisynii przez Włochy.

Lord Halifax musi stwierdzić, że przeciw temu uznaniu protestowali następujący członkowie Ligi Narodów: ZSRR, Chiny, Boliwia i Nowa Zelandia. Obrońca zwraca uwagę przysięgłych na okoliczność, że poza tymi czterema krajami, nikt nie uważał aprobaty zaboru Abisynii za posunięcie, zasługujące ze stanowiska moralności na potępienie.

Na uwagę zasługują zeznania lorda Lloyda, który w roku 1940 stał na czele t. zw. „Rady Brytyjskiej”. Organizacja ta zajmuje się propagandą i obroną interesów angielskich poza granicami Anglii. W roku 1940 lord Lloyd wydał broszurę p. t. „Interesy Wielkiej Brytanii”. Zawiera ona następujące słowa o Włoszech faszystowskich:

„Geniusz włoski stworzył pod postacią faszystowskich instytucji autorytatywny ustrój, który nie zagraża ani religii, ani swobodzie ekonomicznej, ani bezpieczeństwu innych europejskich narodów”.

Ten punkt widzenia podzielał nie tylko autor broszury, gdyż wedle słów jego „wstęp do niej, pełen ciepłych słów dla faszyzmu, napisał lord Halifax, ówczesny minister spraw zagranicznych”.

Tak wyglądają zeznania osób powołanych przez obronę. Streszczając je i stwierdzając współudział świadków w szeregu posunięć Mussoliniego na arenie międzynarodowej, obrońca woła:

„Czy armie włoskie byłyby w stanie zawojować Abisynię, gdyby polityka Wielkiej Brytanii szła po linii oświadczenia z 11. IX. 1935 r., a nie po linii tajnego porozumienia Hoare—Laval z dn. 10. IX. 1935 r.? Czy mogło się udać wtargnięcie do Hiszpanii bez pomocy premiera Chamberlaina? Czy Włochy mogłyby okazać taką pomoc hitlerowskiemu Niemcom, gdyby ich pozycja nie zaczęła się wzmacniać od chwili, gdy lord Simon pojechał w r. 1933 do Rzymu, aż do chwili, w której udał się tam Chamberlain w r. 1939?”

Podśladny Mussolini wygłasza w swojej obronie przemówienie. Nie warto się nad nim rozwodzić. Nie było ono wygłoszone. Skonstruował je sam autor. Są w nim jednak dwa ustępy, których pominąć nie można. 28 października 1936 r. rozeszła się w Rzymie pogłoska o upadku Madrytu. Pogłoska okazała się bezpodstawną. Wojska gen. Franco, znajdujące się o 4 mile od Madrytu, nie mogły zawiadnąć bohaterskim miastem w ciągu lat trzech.

„Przez trzy lata, — mówił Mussolini — podczas których skarb mój był nadwątlony, moje siły lotnicze osłabione, a wojska niemieckie zbliżyły się do Brenneru, Włochy musiały szukać ratunku przez oddanie się w niewolę hitlerowców. Gdyby Madryt padł w roku 1936, byłbym dyktatorem do tej chwili, a w Anglii zasiadałyby nie takie sądy, jak ten, lecz trybunały hitlerowskie.”

Oświadczenie to, włożone przez autora w usta Mussoliniego, podkreśla ogromne znaczenie bohaterskiej walki narodu hiszpańskiego o wolność i niepodległość.

Drugi ustęp mowy Mussoliniego dotyczy rozpętania obecnej wojny. Mussolini twierdzi, że hitlerowski Niemcy, rozpoczynając 1 września 1939 r. wojnę przeciwko Polsce, nie przypuszczały, że najazd na Polskę doprowadzi do światowej katastrofy i mówi:

„Hitler miał prawdopodobnie nadzieję, że wystąpi lord Simon i oświadczy, iż dla Polski nie warto ryzykować utraty choćby jednego angielskiego okrętu, że lord Samuel Hoare

znajdzie w Paryżu odpowiedniego kolegę, który by razem z nim opracował plan oddania Niemcom połowy Polski, albo wręczcie, że Chamberlain zwróci się do mnie, jak to już raz było, i przedłoży ultimatum w Warszawie, jak to kiedyś zrobił wobec Pragi.“

Ten cytat z niewygaszonej mowy odpowiada historycznej rzeczywistości. W swoich zawiedzionych rachubach Hitler mógł liczyć na Chamberlaina i jego kolegów, mógł mieć nadzieję, że ich „polityka nieinterwencji“ i tym razem ułatwi mu następny akt agresji.

Książka Kasjusza, napisana zwięzłym, rzeczowym językiem, daje cenny materiał do historii powstania drugiej wojny światowej. Materiał ten obejmuje tylko część zagadnień, gdyż jak mówiliśmy, nie porusza on „polityki nieinterwencji“ w stosunku do Hitlera. Jaskrawe fakty tej polityki, odnoszące się do Mussoliniego, wyjaśniają także politykę wobec Hitlera. Nie ulega wątpliwości, że jedna i druga miały te same korzenie i te same źródła.

Na pytanie, **kto** pomagał Mussoliniemu w jego polityce agresji i międzynarodowego rozboju, **kim** byli jego współpracownicy, autor odpowiedział dostatecznie jasno. Odpowiedział również jasno i wyraźnie, **jak** pomagano Mussoliniemu w realizowaniu jego napastniczej polityki.

Niestety kwestia, **dłaczego** okazywano tę pomoc, nie została przez autora poruszona. A sprawa to wcale nie bagatelna. Czytelnik widzi przed sobą działania politycznych przywódców, które go przekonują o współudziale szeregu osób w zbrodniach Mussoliniego. Sprawą ważną i konieczną jest jednak zainteresowanie się, **dłaczego** pomagano Mussoliniemu i po co? Na to pytanie „Sąd nad Mussolinim“ odpowiedzi nie daje. Jedynie w zeznaniach lorda Rothermere'a jest zdanie (cytowane już powyżej), w którym świadek ten mimochodem dotyka jednej z ważniejszych sprężyn, które kierowały „polityką nieinterwencji“. Lord Rothermere mówi, że „Mussolini ocalił Włochy, znajdujące się na skraju bolszewizmu, a tym samym uratował cywilizację Europy“.

Nienawiść do Związku Radzieckiego, walka z nim, próba skierowania wszystkich sił agresji przeciw ZSRR, chęć zaspokojenia apetytu agresorów kosztem małych i średnich krajów, oto jedna z podstawowych przyczyn „polityki nieinterwencji“.

Rzecz zrozumiała, że nikt ze świadków procesu nie mógł przyznać się do tego, jakie rzeczywiste motywy pchały jego politykę w kierunku aprobaty posunięć Mussoliniego. Nie można o to obwiniać autora książki, jeśli się weźmie pod uwagę, że opiera się ona o oświadczenia i wypowiedzi autentyczne. O faktycznych przyczynach nie mówi w swym wywodzie i sędzia, który jest przedstawicielem autora. Tymczasem ustalenie podstaw „polityki nieinterwencji“ jest niezwykle ważne nie tylko z punktu widzenia analizy historycznej, ale także ze stanowiska dnia dzisiejszego. Nie wolno zapominać, że walka ze Związkiem Radzieckim prowadzi nieuchronnie do wspomagania faszystów, do konszachtów z nim. Rzeczywistość polityczna dała już w toku obecnej wojny nie mało przykładów, potwierdzających tę tezę. Jak z jednej strony walka przeciwko Związkowi Radzieckiemu prowadzi do wspomagania i współpracy z faszystami, tak z drugiej strony walka przeciw faszystom nie może być uwieńczona zwycięstwem bez jedności działania ze Związkiem Radzieckim. W „Sądzie nad Mussolinim“ te wnioski historyczne nie znalazły odzwierciedlenia.

Oprócz wymienionych świadków, których nazwiska są dobrze znane, w procesie figurują

trzej „oskarżyciele publiczni“: przedstawiciel narodu hiszpańskiego, włoskiego i abisyńskiego. Ci bezimienni oskarżyciele dają w płomienych przemówieniach obraz cierpień swoich narodów, doprowadzonych przez faszystów do skrajnej nędzy i zagłady. Krew, łzy i męki ofiar faszystów wołają w tych przemówieniach o pomstę. Ale nie tylko o nią. Słychać w nich akcenty lęku o przyszłość, która przyjdzie po ostatecznym rozgromieniu agresji faszystowskich napastników. Przedstawiciel narodu hiszpańskiego mówi więc nie tylko o tym, że przywódcy „polityki nieinterwencji“ pomagali w zduszeniu republikańskiej Hiszpanii, ale wyraża również obawę co do dalszych perspektyw. Oto jego słowa:

„Naród hiszpański zdaje się trwożyć, że Anglia będzie miłośniczką wobec gen. Franco, który pomaga państwu „osi“, kiedy były silne, przepowiadał ich zwycięstwo, a teraz, kiedy koło fortuny przechyliło się w innym kierunku, próbuje przejść do innego obozu.“

Dochodzimy do punktu, w którym chodzi nie tylko o osądzenie faszystów, lecz i o to, aby całkowicie uniemożliwić jego odrodzenie w przyszłości. Mówi o tym w swym resumé sędzia, który tak formułuje zadania Narodów Zjednoczonych:

„Mówimy otwarcie o naszym zamiarze dania oswobodzonym terytoriom demokratycznych swobód i praw człowieka. O realizację tego celu przyjdzie walczyć jeszcze długo po umilknięciu wrzawy bitewnej. Nie zrezygnujemy ze swego celu po podpisaniu preliminarzów zawieszenia broni, nie zostawimy oswobodzonych przez nas krajów ich własnemu losowi. Gdybyśmy tak postąpili, kontynent nasz mógłby się łatwo dostać znowu pod władzę nowego i jeszcze straszniejszego faszystów.“

Sprawa więc polega na tym, żeby nie tylko doprowadzić do wojennej klęski faszystów, lecz stworzyć również taki demokratyczny porządek, który by pozwolił na zupełne wykarczenie korzeni faszystów.

Sędzia bierze na siebie jeszcze jedno zobowiązanie. Nie chciałby, aby u obecnych na sali sądowej osób powstało wrażenie, jakoby na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza istniała tylko Anglia Chamberlaina, który wspomagał faszystów. Sędzia twierdzi i ma zupełną rację, że:

„w owym czasie istniała i inna Anglia. Ta inna Anglia odnosiła się do faszystów od samego jego powstania z nienawiścią. Walczyła przeciwko zdradzieckiej polityce wobec Abisynii. Demaskowała politykę, która doprowadziła do izolacji i klęski Hiszpanii. Będąc w opozycji, walczyła na przestrzeni tych lat o stworzenie Związku Narodów, rozumiejąc, że głównym wrogiem, z którym należy walczyć, jest faszystów, bez względu na to, pod jaką ukrywa się maską i w jakim rządzi kraju.“

Miejmy razem z sędzią nadzieję, że „chamberlainizm“, posiadający jeszcze w Anglii zwolenników, już nigdy nie stanie się oficjalną doktryną zagranicznej polityki angielskiej.

Niebywała w dziejach ludzkości wojna, zbliżająca się ku końcowi, doprowadziła do przewartościowania szeregu wartości. Ukazała ona nie tylko gigantyczną rolę Związku Radzieckiego, jako zasadniczego czynnika zwycięstwa nad blokiem hitlerowskim, ale i znaczenie ZSRR w dziele powojennej budowy stosunków międzynarodowych na zasadach demokracji i wolności.

Bez wzięcia pod uwagę tego najważniejszego historycznego wniosku, nie można by było przeciwstawić się odrodzeniu faszystowskiej zarazy, z powodu której ludzkość przelała potoki krwi.

(Z czasopisma „Wojna i Klasa Robotnicza“)

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA*

— Lekceważycie to, idziecie na ustępstwa. Wiem, wiem. Ale to jest niebezpieczne. Obecny kurs jest wam przekazany niejako w testamencie, tak by się przynajmniej zdawało. I ostatecznie jest przecież oparty o świadomość swych sił.

— Ja nie jestem politykiem, — rzekł ciszej Oxeński, jakby czegoś nasłuchując. — Ale mnie się zdaje, że profesor się myli. Jakie ustępstwa? To jest po prostu karmienie dzikich zwierząt. Idzie o to, żeby się oswoili. Myślą, że bierze się ich na serio, że coś znaczą. I sami napierają się do klatki.

— Ach, panie prokuratorze, pochłaniałbym bardzo, gdyby pan ich zamknął nie w żadnej klatce, ale po prostu do kozy.

Oxeński zdawał się być zdziwiony, słysząc takie słowa z tych światłych ust. Powoli, jakby naprawdę rzecz rozważając, powiedział to, co zazwyczaj mówił w tych sytuacjach:

— To by szło właśnie po linii ich zamierzeń. Niczego tak nie pragną, jak mieć wreszcie własnych bohaterów.

Obejrzał się za synem, ale już go nie znalazł u swego boku. Bowiem — zdawszy profesora na ręce ojca — Edmund dał się pociągnąć do następnej sali.

— Ty widziałeś? — mówiła z przejęciem. — To są typy, to dopiero są typy! Mróz przechodzi, jak się to widzi.

Szła obok niego, cienka jak łądyga. Wesoła i śmiała. Nos miała tak zadarty, że podrywał za sobą górną wargę i parę przednich zębów.

— Ale on jest raczej sympatyczny, — polubownie rzekł Edmund. — Popatrz, jakie łagodne ma oczy.

— On — tak. Papa mówi, że on jest nawet zupełnie europejski. Za to reszta!

— Wiesz, jabyłm jednak coś zjadł, — wyznał na to Edmund.

Chciał, żeby poszła z nim do bufetu. Ale nie była głodna. Jednak odprowadziła go do drzwi.

— Ale, Dziuniu, potańczymy jeszcze kiedy, chcesz?

— Najchętniej. Zajdę znowu po ciebie którego dnia.

— Powiedz od razu, kiedy.

Namyślał się, gdy ona milczała, wyczekując.

— Pojutrze. Idzie tak? co?

— Doskonale. Tylko zajdź wcześniej. Ach, opowiem ci coś dobrego o starym Wysokolskim. Romans dziadunia, tego się nie da tak w dwóch słowach...

Urwała, jakby się opamiętując.

— Poczekaj, — rzekła, — lepiej nie przychodź, póki sama nie zadzwonię.

— Doskonale, będę czekał dniem i nocą.

Westchnęła lekko, uważnie na niego popatrzyła.

— Bo widzimy się tak często. Nie chciałybym ci się sprzykrzyć.

— Och, to nie. Tylko że mogę się przyzwyczaić...

Był roztargniony, leciutko się nawet niecierpliwił. Nie nalegał, gdy nie chciała nic więcej powiedzieć o „romansie dziadunia“. I wprędce z nią się rozstał. Bowiem w perspektywie przestronnej bocznej sali ujrzał nagle kobietę, której nie szukał.

Rzecz śmieszna, że tak gwałtownie biło mu serce. Była w tym samym mieście, co on, była w tym samym gmachu, o tej samej nawet godzinie! I nie pragnął nic wiedzieć o jego istnieniu... Stał przez chwilę, ręką oparty o odrzwia — tak bezsilny, że chwiał się na nogach. „Straszne, myślał z uporem, straszne“...

Widział ją pośrodku jasnej przestrzeni z jakimiś mężczyznami — dużą, lekko wokół siebie okręconą, niby dyskobolka, jeszcze odgięta po rzucie. Stała tam milcząca, słuchała tylko ich rozmowy. Biała i lśniąca w tej zbyt młodej sukni, jak zamarznęta szyba. I znowu go nie widziała! Patrzyła w inną stronę! Z czterech mężczyzn, którzy obok niej stali, jeden był jej mężem i co najmniej jeden kochankiem.

Chrudosz, za którego wreszcie zdecydowała się wyjść tam za granicę, — ten był pewny. Z pozostałych Edmund znał jeszcze starego przyjaciela ich domu, ministra Uświackiego, imponującego pana z piękną, pielęgowaną czarną brodą, i Nawlickiego, dziennikarza, poznanego niedawno w pewnej redakcji. Najbardziej zainteresował go czwarty, którego nie znał, choć go już gdzieś widywał.

Gdy uciło mu serce, zmęczony i pobladły, powolnym krokiem wymijając gwarny tłum, zbliżył się do tej grupy. Nasuwał im się na oczy, nie patrząc. Myślał, że przejdzie obok niej bez ułkonu i bez słowa, że ją wyminie. Ale w jakiejś chwili przytrzymała oczami jego spojrzenie.

Złożył przed nią swój ukłon czołobitny, czekając, by podała mu rękę do pocałunku. Gdy znów się wyprostował, powiedział przekornie:

— Bo nie wiem, czy wiadomo pani, że jestem jej synem.

Przerwała mu ze śmiechem: — Nie błądź, Dziuniu. Od razu cię poznałam.

* Ciąg dalszy. Początek w nr. 13.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

ŻYDOM POLSKIM

Pamięci Szmula Zygielbojma

Z polskich miast i miasteczek nie słychać krzyków rozpaczliwych, padli, jak hufiec bojowy, warszawscy obrońcy ghetta...

Słowa me we krwi nurzam, a serce w ogromnym płaczu, dla was, o Żydzi polscy, polski tułacz poeła.

Nie ludzie, lecz psy okrwawione, i nie żołnierze, lecz kaci, przyszli, by śmiercią porazić was, wasze dzieci i żony, gazem w komorach wydusić, wapnem w wagonach wytrącić, i sztych z umierających bezbronych i przerażonych.

Lecz wyście podnieśli kamień, by cisnąć nim w kanoniera, który nastawiał działa, by dom wasz zburzyć do szczętu...

Synowie Machabeuszów! i wy potrafiacie umierać, podjąć bez cienia nadziei walkę, we Wrześniu zaczęta.

Oto co trzeba wyręć jak w głazie w polskiej pamięci: wspólny nam dom zburzono, i krew przelana nas brata,

łączy nas mur/egzekucyj, łączy nas Dachau, Oświęcim, każdy grób bezimienny i każda więzienna kłata.

Wspólne zaświeci nam niebo ponad zburzoną Warszawą, gdy zakończymy zwycięstwem krwawy nasz trud wieloletni:

każdy człowiek otrzyma wolność, kęs chleba i prawo, i jedna powstanie rasa, najwyższa: ludzie szlachetni.

rzadkie. Podaż tego była dość znaczna. Podczas gdy smutnawy aplomb byłego ministra, jego ton orzekający, w najwyższym stopniu miarodajny, ta zaledwie świeżą broda i oczy mroczne, jakby przesłonięte dymem — jednak były czymś wyjątkowym, przykuwały uwagę, nie dawały o sobie zapomnieć.

Nawlickiego, człowieka szczupłego o złotawej, chorowitej twarzy, noszącego binokle, nie okulary, — nie brał w ogóle w rachubę. Ani Chrudosza, który był tu w charakterze męża. Jej męża!

Tkwiał w swoim cieple, jak w zaobszernym ubraniu — cały w zbytkownych fałdach skóry pod oczami, pod brodą i na karku. „Oto człowiek, którego sobie wybrała“, — myślał z gorczyzą.

I Chrudosz był minionym dygnitarzem — naprzód wieloletnim posłem ze stronnictwa niezadowolonego, później prowincjonalnym prezydentem miasta z jego ramienia, później kolejno dyrektorem paru instytucji o charakterze społecznym. Miał jeszcze dość ciężkie pieniądze, pozostałe z piastowania tych godności. Ale nie miał żadnego znaczenia — nawet u „swoich“.

— Przeciwnie, ja uważam, — mówił do niego Uświacki, — że jak na państwo prawie bałkańskie, dajemy sobie radę raczej nie źle. Jeżeli pan porówna, co działo się przez ten czas w Europie, szczególnie na lewo od nas, — no, to jesteśmy krajem, w którym ostatecznie żyć można. To i owo stało się niepotrzebnie z pewnością. Ale biorąc porównawczo, jesteśmy jeszcze ideałem praworządności.

Chrudosz gotów był wytoczyć swoje poważne zastrzeżenia. Ale mu to Uświacki łagodnym gestem uciszającym z łatwością udaremnił.

— Owszem, dyktatura, — przystał, — owszem, pułkownicy. Nawet Bereza. Ale to też trzeba brać z uwzględnieniem kosztów. Bo jednak ten nasz pochod nie odbywał się całymi szpalerami trumien, ostatecznie tych parę trupów wystarczyło. I cokolwiek dawni entuzjaści mogli sobie o tym myśleć ponieważ, jednak udało mu się paru funkcyjami wasów powstrzymać ten kraj od ciężkiej wojny domowej — w wąskim przesmyku między dwoma rozkołysanymi morzami rewolucji. To trzeba mu oddać, choć tak wiele można mu zarzucić.

Chrudosz natomiast dotąd jeszcze za złe miał to właśnie, co już od dawna Uświacki pochwalał. Nie było mu jednak i na ten raz dane o swojej słuszności go przekonać.

— Cóż tu mówić, — ciągnął były minister, pięknym gestem ogarniając sąsiednią salę, gdzie biło serce dzisiejszej uroczystości. — Potęga, potęga, nikt temu nie zaprzeczy. Mamy przed sobą wynik zdumiewający i zgrozę budzący, jeżeli to sobie przypominieć w procesie narastania, w różnych fazach konsolidacji, historycznie — wynik niewiarygodny. Ale oni na to sposterbowali całe serie hekatomb.

I wymienił parę nazwisk z Nocy Długich Noży, romantyczną zgrozę zdolnej zaiste rozpaść głowy poetów, gdy to padli najbardziej kiedyś oddani wyznawcy, same herosy tej złej sprawy.

— Albo ten namiętny elektrotechnik, wróg militarystyki i feodałów, miłośnik książek, przepychu, prośbę państwa, jasnowłosy chłopię, który to marzył, by ślać na wschód nie zastępy czołgów i sznury samolotów, ale budować tam gigantyczne zapory na Dnieprze i Woldze, potokami światła zalać ciemności Syberii i Chin. Mógł być to może zrobić ten magnat u władzy, ale i on padł jeszcze przed tamtymi.

— Zrobią to inni, — pospieszył uspokoić Nawlicki.

Ale i ten sprzeciw uchylony został władczym gestem Uświeckiego.

— Aż tyle było potrzeba, żeby ten młody dygnitarz o łagodnych oczach mógł tu wieść z nami swą śmiertelną kabałę... A my...

Treść słyszanej rozmowy nie docierała do Edmunda. Miał ją wciąż przed oczami, coś sobie z cicha projektującą z tym młodym dramem: gdzie iść tańczyć, co „zrobić z resztą wieczoru“. Zauważył teraz — po raz pierwszy w życiu! — że ma górną wargę lekko pod nosem spłaszczoną, jak sfinksy. Nie można było przestać na nią patrzeć. Serce wciąż jeszcze nie chciało w nim się uspokoić.

Z kontemplacji wyrwał go dopiero głos młodzieńca, który mało wtrącał się do rozmowy starszych panów. Głos dzwiczny, urzekający, jak wezwanie.

— Czytałem niedawno takie słowa, — rzekł powoli, jakby je sobie przypominając. — „Marsz o zespole ludzi wspaniałych, ukształtowanych z jednolitej bryły. Tacy, nie oszczędzając nikogo, wezmą na siebie nazwę Niszczycieli, poddadzą wszystko ostrej rewizji i pójdą bez zażądań w służbę prawdy.“

Gdy skończył, zaczerwienił się. Było widać, że jest zadowolony.

— To Nietzsche, — rzekł Nawlicki.

— Tak.

— Pan myśli, że wypełnili zapowiedź swego proroka.

— Tak, — powtórzył młody człowiek.

Nawlicki bardzo się ożywił. Chrzęknął wymownie i zabrał głos.

— Jeżeli chodzi o cytaty, proszę panów, to sobie pozwolę też coś ze swej strony przytoczyć. W *Słowniku filozoficznym* Woltera znalazłem dosyć ciekawą dla nas opis zamachu na króla Stanisława Augusta. Nawiasem mówiąc, ten *Słownik* w ogóle jest niezmiernie interesujący i bardzo żałuję, że tak mało u nas znany. Przy tym Wolter pisze o zamachu na

skutek otrzymanej o nim wiadomości, więc że tak powiem, na gorąco. Jest oburzony. Nie sądzić panowie, że oburzony jest dlatego, iż zamach się nie udał. Nie. Chodzi mu o niepoznanowanie autorytetu władzy królewskiej, o niesłychaną dzikość i barbarzyństwo. Dobrze. Karci za to Polaków i zwraca się do nich dosłownie z taką apostrofą: „*Polonais, si vous n'êtes pas philosophes, du moins ne vous égorgez pas*“. Też słusznie. Ale mnie, proszę panów, chodzi o co innego. Mnie chodzi o to, że Wolter po straceniu Ludwika Bourbona nie oburzył się wcale. Niestety, mógł już tylko zachować milczenie. Ponieważ wtedy nie żył... Chrudosz się roześmiał.

— Bardzo dobrze, — surowo rzekł młody człowiek. — Ale po co pan to mówi?

— Rzecz prosta. Bo myślę, że i Nietzsche — jak Wolter, jak zresztą Montesquieu, jak Rousseau — byłby bardzo zdziwiony, gdyby żył i mógł się przypatrzeć owocom myśli swych, urzeczywistnionych przez tę rewolucję.

Chrudosz odwrócił się od młodych ludzi w stronę Uświackiego.

— Ich prawda! — rzekł, wzgardliwie opuszczając kąciki ust. — Żebyśmy tak czasem nie poczuli jej na własnej skórze! Bo jeżeli wziąć pod uwagę tenor dzisiejszych wzajemnych świadczeń i uprzejmości, to będziemy ich mieli, tych „ludzi wspaniałych“, na karku — jeżeli nie za rok, — to najdalej za dwa.

Edmund powstrzymał się od zabrania głosu, choć mógłby podać w wątpliwość te przepowiednie na podstawie ściślejszych danych. Przez chwilę słuchał, co mówi ten człowiek. Zdawało mu się, że powtarza słowa własne z wieloletnich swych mów poselskich. Nie wierzył w nie zapewne nawet wtedy. Ale służyły mu w potrzebie jeszcze dziś.

Uświacki jednym ruchem ręki odgarnął sprzed siebie ten stek niedorzeczności, jakby nigdy nie należał wraz z Chrudoszem do jednego stronnictwa.

— Drogą panie, co też pan... Gdzież to pan widział, bywając przecież na świecie, żeby „klasy posiadające“ chciały wojny. To pan sobie mógł mówić swoim wyborcom, oni zawsze uwierza, to jest ich fach. Ze wystarczy „zmięnić ustrój“, by zaraz wojna zniknęła z oblicza ziemi. Zmiana ustroju! Bagatela. A cóż to jest, drogi panie, w naszych tutaj warunkach, zmiana ustroju, mówiąc bez obłonek, uczciwie. Ja twierdzę, proszę pana, że to jest po prostu wprowadzenie innego systemu centryfugi, która co innego odwiruje panu jako śmietankę, kogo innego wydzwignie, wypiętrzy, jako elitę. Nic więcej. Ale my tu, między sobą, zebrani jeszcze na razie w charakterze śmietanki, — chociaż już może niezadługo znajdziemy się zupełnie gdzie indziej, jako „odciąg“, — my wiemy przecież najlepiej, że plutokracja jest wszędzie elementem najbardziej pacyfistycznym. Owszem, utylizuje wojnę, jak utylizuje zresztą wszystko. Ale sama jej się boi. Przecież nawet my z panem, starzy lewicowcy, mamy już coś do stracenia. Faktem jest, że wolimy świat, jaki jest, niż jaki powinien być. I czujemy się w nim wciąż jeszcze, jak ten arlekin u Merimégo, co to, gdy spadał z piętego piętra, a ktoś go zapytał na trzecim, jak się czuje: „*très bien*, — powiada, — *pourvu que cela dure*“...

— A to według pana, kto chce wojny? Nikt?

— Liga Narodów, — odpowiedział dowcipnie Nawlicki.

Ponieważ ten żart nikogo nie zabawił, Nawlicki przypomniał, jak długo i nieowocnie pracowano nad rozbrojeniem, tworząc komisje przygotowawcze i techniczne, przygotowawcze znowu do przygotowawczych, jak na sejsjach zwalczano wszelkie wnioski radykalne.

— Wpadł mi kiedyś w rękę taki odrzucony projekt, proszę panów, pozwólcie, że znowu zacytuję. Punkt pierwszy: rozwiązanie wszelkich efektów armii lądowych, morskich i powietrznych i zakaz utrzymywania ich w jakiegokolwiek postaci. Punkt drugi: zniszczenie wszelkiego uzbrojenia w jakiegokolwiek postaci. Punkt trzeci: zniszczenie okrętów wojennych wszelkich kategorii. Punkt czwarty: zburzenie wszelkich fortec. I tak dalej, już nie pamiętam — aż do zniesienia wszelkiego gatunku propagandy wojennej. I proszę panów, przewodniczący nie wciągnął tego projektu na porządek obrad, uważając go za sprzeczny z wynikami poprzednich prac Ligi Narodów. Pan sobie nie przypomina, kto wniósł ten projekt? To było dwanaście lat temu. I kto wie, kto wie... Cóż, teraz uzbrojeni jesteśmy wszyscy...

— Nie przypominam sobie, — lekceważąco odrzekł Uświacki.

I Nawlicki nie powiedział, czyj to był projekt.

Wtedy raz jeszcze odezwał się nieznany Edmundo młody człowiek jasnowłosy, by zauważyć, że o przyczynach wojny da się mówić długo i nadaremnie. A jego zdaniem rzecz jest prosta.

— Wojny chcą ci, którzy ją robią: monarchowie i wielcy wodzowie. Ci, którym zależy na wielkości ich ojczyzny i sławie ich ludów.

Edmund zatrzymał się przy podejrzeniu, że to jest on. Wysoki, jasnowłosy, przekonany. Poza tę myśl nie sięgała jego wyobraźnia. Wojna, sława, ojczyzna — to były dla niego nazwy bez desygnatów.

Zdaleka, w perspektywie sali głównej, zobaczył nagle przechodzącego Baraza.

Wykonał jeden z gestów swego zawodu — gest niby zaskoczenia i zarazem ekskuzy. Była w nim obietnica powrotu. A prośba o przybra-

zenie, bezradność wobec nieokreślonej siły wyższej. Zamknął to w słowach:

— Ach, przepraszam! ja zaraz... ja tylko...

I gdy człowiek, w którym wreszcie odkrył wroga, pewnym, jasnym, urzekającym głosem dalej ciągnął swoje, Edmund przemknął się ku drzwiom, za którymi w towarzystwie Baraza ujrzał drugą parę swoich rodziców.

ROZDZIAŁ IV.

Zostawiwszy Agatę z Oxeńskimi, Wysokolski znalazł się znów w sferze przestrzonnego lśnienia i światłości sali głównej. Goście odbyli już całe kilometry przechadzki po wszystkich salach, odstali czas posiłku przy bufecie w wielkiej zielonej jadalni, z tac, roznoszonych przez służbę, napili się coctailów i wina. Obejrzeliby dostojników swoich i cudzych. Wszystko najważniejsze już się stało.

Teraz dopiero w przereźdzonej tłumie gości dojrzał Aramowicza. Szedł z wolna i ciężko bokiem sali, zmiierzając w stronę, gdzie wokół gościa i gospodarzy zebrało się grono wybrańskich osób, zajętych rozmową obu ministrów. W przeciwieństwie do Wysokolskiego, na wszystko, co tu miał przed oczami, patrzył zupełnie bez entuzjazmu. W szczególności niepokoił go ten róg sali, w którym knuła się najbliższa przyszłość.

Oczywiście i on przyznać musiał, że raut dzisiejszy odbiegał bardzo od pierwszych uroczystości wskrzeszonego państwa. Pamiętał czasy, gdy to najzasłużeńsi patrioci po cudnych parkietach komnat zamkowych przechadzali się w kamaszkach, ministrowie występowali na rautach w marynarce, a premier w butach wysokich i bez krawata.

Ale od tego czasu konspiratorzy i bojowcy posprawiali sobie fraki, a nowe żony ministrów i generałów nauczyły się ruszać i ubierać. Nawet w wybrednych oczach Aramowicza wygląd dzisiejszej uroczystości nie różnił się wiele od podobnych pił na Quai d'Orsay albo w Foreign Office.

Zatrzymywany przez znajomych, Aramowicz nie łatwo dawał się wciągać w rozmowę. Był poważny i małowolny, powolny w gestach, i słowach. Jego nieruchoma twarz o szczękach obwisłych, jak u buldoga, nie skłaniała nikogo do wynurzeń.

Postać chwilę ze starą księżną Czarncewiczową, magnatką, która utraciła wielkie dobra na Ukrainie, a jeszcze miała w kraju dosyć majątków i pałaców. Nie tak dawno była do tego także piękna. Dopiero ostatnio po dłuższej chorobie zmieniła się nagle w zgarbioną staruszkę, chodzącą o lasce.

Mrugając z wolna oczami, Aramowicz słuchał z wysiłkiem, co do niego mówiła. Nie od razu pojał, że oddaje pochwały najmłodszej córce jego, Cecylii. Niezbyt temu dowierzał, wiedział, że nie jest ładna, że jest podobna do matki. Istotnie zaraz później usłyszał, że księżna pragnie widzieć ministra Uświackiego.

— Był tu przed chwilą, — odrzekł frasośliwie i popatrzył na prawo i lewo, daleki zresztą od myśli, by iść szukać tego pyszałkowatego lwa.

Wyjaśniała mu jeszcze, że ma do Uświackiego ważną sprawę i nawet była gotowa ją wyluszczyć. Widząc jednak, że nic nie wskóra, dała pokój i powędrowała ostrożnie o kiju w swoją drogę.

Gdy zniknęła, zjawił się, jakby wywołany jej pragnieniem minister Uświacki i wszedłszy w jej ślady, zatrzymał się przy Aramowiczu.

— Szukała cię tu Czarncewiczowa, — rzekł mu ten zaraz po przywitaniu.

Ale nie poszło tak łatwo. Uświacki zaczął mu swym złośliwym sposobem opowiadać o Chrudoszu i jego sprawach. Siedział dłużej we Francji i robił tam coś po konsulatach przy opiece nad polskimi robotnikami. Widać nie bardzo mu się wiodło, bo jednak tu powrócił i „za czymś się ogląda“. Po takiej przesłuchaniu! Tak to jest teraz z tymi ludźmi, którzy przecież w początkach wszystko mieli w rękę.

Aramowicz pochrząkiwał i nawet uśmiechał się wyrozumiale. Od Rządu Ludowego aż po dzisiejszy układ sił przeszło czasu nie mało. I zespół ludzi u góry odnawiał się parokrotnie odpowiednio do kursu. W pewnej chwili grupa, będąca przy władzy, włączyła w swój obręb wielką własność. I tak Aramowicz, któremu w początkach wybaczano jego pieniądze, ponieważ brał udział w działalności niepodległościowej, dziś został nadwornym żubrem pułkowników i wybaczano mu z kolei lekkomyślnie sympatie młodości, a ceniono owszem „dobrą“, których nawet część, za ostatniego powstania skonfiskowaną, restytuowała mu Rzeczpospolita.

— Przywiódł tutaj tę żonę, — ciągnął melodyjnie Uświacki, — która zdaje się znacznie przerasta jego zapotrzebowania. Wywołał ją sobie gdzieś w Europie, tę dawno ubiegłą miłość naszego kochanego Antka prokuratora. No cóż, ma trochę gotówki i nie najgorszy majątek, w którym osadził swego młodszego brata na gospodarstwie. Jakoś sobie poradzi. Ale wątpię, żeby mu się teraz udało coś odpowiedniego znaleźć.

— Ja ją pamiętam, — mruknął Aramowicz, — jeszcze kiedy była żoną Oxeńskiego.

— On zbyt poważnie wziął pewne rzeczy w roku dwudziestym szóstym — i już nie potrafił z tego się wyplątać. Był zanadto gorliwy. Miał w sobie zbyt dużo dobrej wiary.

Jego żal niewygasły do dawnego bożyszcza to jest po prostu naiwność.

Tak było. Sam Uświacki rzeczywiście opamiętał się w porę. Ale ledwie nowi marszałkowie, premierzy i prezesi nauczyli się nosić fraki i monokle, już mapa relacji politycznych ulegała nowej zmianie. Pułkownicy pakowali z młodymi, pragnąc ich z kolei zagarnąć i unieszkodliwić. A zarazem odświeżyć się nimi i zaktualizować. Tym, co nadchodziło, co już stało za progiem, wreszcie i oni sami poczuli się zagrożeni.

Niektórzy zdążyli także dorobić się przy tym niezłych fortun. Zwyczajnie kumulowali po kilka posad, brali udział w paru radach nadzorczych, otrzymywali wysokie diety na kosztą wyjazdów. Sam udział kierowniczy w przedsiębiorstwach państwowych dawał w niedługim czasie bez żadnych nadużyć poważne pieniądze.

Jedni byli jeszcze na wierzchu, innych przesłaniała już nieuchwytna mgła oddalenia. Robili się niewydolni, nieprzydatni, przestali się nadawać. Otrzymywali urlopy bezterminowe, dogasali na podrzędnych stanowiskach. Ludzie dawniej wpływowi, dziś rozmieszczeni byli zdala od stolicy na różnych prowincjonalnych Dowództwach Okręgu lub Województwach. Chodziły tu przecież takie żywe wyrzuty sumienia, jak właśnie ten Chrudosz albo Wysokolski, albo i ten sam Uświacki. Całe to dawne bractwo „wieźniów ideowych“ zrobiło się po prostu krepujące. Było też między nimi coraz mniej takich, którzy, jak Wysokolski, jak Ciencki, do końca wodza swoje nazywali „Komendantem“. Którzy — wierni mu, póki żył, — dziś wierni pozostali jego cieniem.

Rozmawiając z Uświackim, Aramowicz miał już od dłuższej chwili w polu widzenia zmierzającego niedbale w jego kierunku Jaspisa. Wciąż jeszcze dawna słabość młodości łączyła go w jakiś sposób z tymi ludźmi. Ale wiedział już teraz, że oparta była na nieporozumieniu.

Z udziałem Aramowicza w robocie niepodległościowej sprawa nie była taka prosta. Wynikał raczej z jego ogólnego zainteresowania człowiekiem, niż z istotnych powinowactw. Pociągali go ludzie, którzy to robią. Dziwił się, że w każdej epoce historii znajdują się tacy, którzy gotowi są ginąć, gotowi wydać się na przerażenie i niebezpieczeństwo, ludzie, skazani sobą na heroizm. Fascynowało go w nich działanie na własną niekorzyść, ten luksus, ta zubożność, to jakieś *trop plein* ludzkiej natury.

To było tylko to, nic więcej. Świat konspiracji był dlań ciekawy nie dlatego, żeby to tkwiło w nim, jako potrzeba, ale że tej potrzeby wcale w sobie nie czuł. Stąd jego różne przyjaźni młodości, te rzeczy w Paryżu, stąd Antek Oxeński, Jaspis Wysokolski, nawet w pewnym okresie ten Chrudosz. Stąd ta śmieszna i bolesna miłość dla kobiety, której charakter niewątpliwie — urzeczony owocną aurą — bardzo przeceniał. Te przyjaźni i troche gotówki na potrzeby organizacji to była cała jego patriotyczna inwestycja.

Nigdy naprawdę nie był „ich człowiekiem“. Nie dzielił powszechnego wówczas ich uwielbienia dla przywódcy. Wieloletnia tamtego działalność podziemna i zagraniczna wydawała się Aramowiczowi nie dość poważna, zbyt w duchu dawnych schematów, nie nadająca się do nowoczesnego świata.

Sam przecież przyznać musiał, że co do tego był w błędzie. To on nie przewidział, że właśnie nastawała epoka romantyczna, epoka wodzów. Sam przyznać musiał, że jedna po drugiej tamtego polityczna gaffa dawała mu najlepsze wyniki. Miał szczęście niewątpliwie, tym tłumaczył sobie Aramowicz jego sukcesy. Ale miał też chyba *du flair*. Niektóre jego zamysły najbardziej niedorzeczne udawały się wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Miał widać jeszcze *czucie z rzeczywistością*, która ostatecznie nie staje się przez to bardziej doręczna, że jest obowiązująca.

Aramowicz pamiętał pełną głębokiej wymowy chwilę, gdy podpisywano akt przekazania mu władzy przy pewnym stoliku pewnego warszawskiego pałacu. Pamiętał, jak w trybie dobrotliwym rozładowany został styczniowy zamach stanu, gdy ponad najśmielsze przewidywania winowajców, uznano za słuszne — wszystko zrozumiałowsy — wszystko przebaczyć i puścić w całkowitą niepamięć. I Dni Majowe, gdy to Aramowicz był najgłębiej przekonany, że na ten raz — istotnie, wiedziony „górnym swym wędchem“, „wskoczył na kanapę, zamiast pod szafę“... A tymczasem właśnie po tych dniach strach padł na rozpanoszonych przyjaciół, gdy dotychczasowi nieprzyjaciele odetchnęli z ulgą i nawet przygarncię zostali do serca.

Tę parabolę o „węchu górnym i dolnym“ dane było Aramowiczowi posłyszeć z własnych jego ust i to pod swoim Wrocimowickim dachem.

Wysokolski kluczył jeszcze przez chwilę, witał się po drodze z tym i owym. Wycękał aż Uświacki wybrał się na poszukiwanie księżny Czarncewiczowej i podszedł do Aramowicza.

— Witaj, bracie, — powiedział ciepłym swym głosem. — Jak się masz?

Potrząsał serdecznie jego prawicą, gładząc zarazem lewą ręką jego ramię.

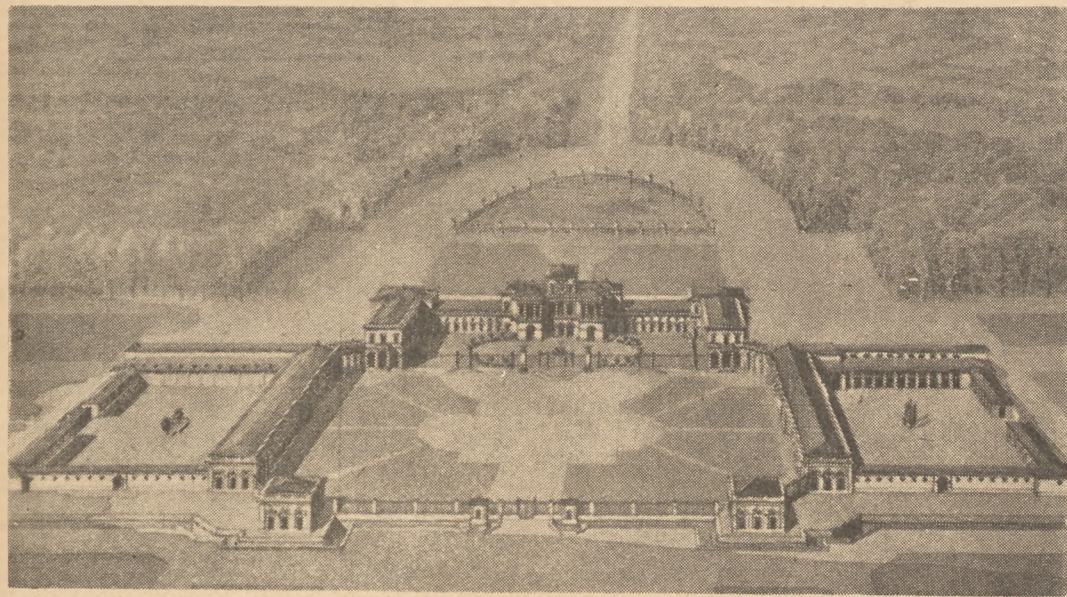
— Nie tego jakoś wyglądasz, kochany, — dodał, z troską na niego patrząc.

Aramowicz nie rozjaśnił się od jego widoku, ani słów.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

KAZIMIERZ WYKA

Haus Kressendorf w hrabstwie tęczyńskim



Pałac krzeszowski według projektu Porciera i Fontaine'a (1819)

Zacznijmy od słów fałszywego proroka z „Woli mocy”: „W cieniu mieczów jest raj”. Powtórzmy te słowa Nietzschego.

Dzieje Haus Kressendorf w hrabstwie tęczyńskim godne są napisania już dzisiaj, chociaż zaledwie ich szkic pobieżny dać można obecnie. Godne są napisania, albowiem jak w przymacie skupia się w nich wszystko, co było tajemną podszewką, istotną sprężyną panowania hitlerowskiego w Polsce. Sprężyną niewidoczną od fasady rzeczy. Lub — jeżeli kto woli — co było jedną z najbardziej patologicznych komórek tego ustroju. Tak doskonala w swojej patologii, że lekarze zwykli go zwać przypadkiem klasycznym. Takim przypadkiem klasycznym jest Haus Kressendorf.

Ale nie mniej znamienne jest jego przeszłość dawniejsza. Nazwa tej przeszłości —

HRABSTWO TĘCZYŃSKIE.

Jego dzieje rozpoczniemy cytatem z Niemcewicza. Odbываяc w roku 1811 jedną ze swoich „Podróży historycznych”, taką notatkę umieścił o Krzeszowicach: „Krzeszowice leżą w najprzyjemniejszym położeniu. Stąd, na wyniosłych i lasami okrytych górach, odkrywa oko klasztor Karmelitów bosych w Czernej i poważne zamku tęczyńskiego ruiny. W miejscu przeznaczonym do kąpiel, gęsto zasadzone drzewa użyczają już i cienia i chłodu. Wijący się srodkiem na kamykach strug czystej wody, mručeniem i świeżością swoją przechodzących przyjemnie rozrywa.” Wdzięk tych okolic wyraził Niemcewicz w sposób miłe staroświecki: „rozwijają się kraj otwarty, wynoszący się stopniami w nieznaczne piętra; na nich przewijają się pasma żniw. Rozmaitość farb ich, wesołe, zielone smugi, wioski otoczone kasztanami, mile zachwycają oczy patrzających.”

Podobnie jak on, łagodne piękno tych miejsc odczuwać musiały całe pokolenia Krakowian, ciągnących niedzielami na wypoczynek do Czernej i Krzeszowic, miasteczka odległego od Krakowa o 25 kilometrów, przy szosie i kolei do Katowic, nim w ostatnich latach przed wojną obecną nie zluźowały ich nie mniej liczne gromady Ślązaków, stawiających tutaj swoje domy wypoczynkowe, wypijających nieprzebrane ilości piwa. Kraków pociągnął ku górom prawdziwym, Śląsk zaś na ten sposób poczynił się zrastać ostatecznie ze swoją ziemią sąsiednią.

Każdy z nas, kiedy pamięcią wzroku przywołuje krajobraz, który ma być typowy dla jego ojczyzny, nie jest w stanie uczynić tego inaczej, jak w kształcie krajobrazu swych lat dzieciennych. Typowego pejzażu mej ziemi ojczystej, wśród niego urodzony i wychowany, nie mogę sobie wyobrazić inaczej: wzgórze łagodne i rozmaite. Jeżeli nimi krocysz, podnoszą cię, wędrowczie, niepostrzeżenie i bez wielkiego trudu. Otwierają nie mniej łagodne, niedalekie, wszędzie po grzbietach obwiedzione czernią lasów stoki i falizny. Gdzie stąpisz, wszędzie rozmaite form, lecz bez zaskakującej niespodzianki, humanistyczna i uładzona. Pod zachód słońca, poziomymi promieniami u wylotów leśnych wydobyte z zieleni, wystercają okruchy wapiennych dolin — białe jak wymyte kości. Stoki układają się w wielki rów, spływający ku wschodowi, nalany niebieszczejcą mgłą. W nim wsi gęsto sadzone, obfite czerwienie dachów. Zaś od południa, w czyste dni jesienne, obraz obwiedziony „gubiącymi się w horyzoncie Tatrami, które jak nieprzerwanym łańcuchem obwiodły z tej strony granicę Polaków” (Niemcewicz).

U wschodniego stoku jednego z tych wielu pagórków spoczywa najdawniejsza część Krzeszowic. Tutaj w dolinie popularny już pod koniec XVIII stulecia zakład kąpeli siarczanych — dzisiaj, kiedy źródła zaniknęły, opustoszały budynek.

Ciągnący ku Krakowowi, których nazwiska zapamiętała historia, zatrzymywali się tutaj

nie raz. Miał pono nocować Goethe. Na pewno spędził kilka tygodni ks. Józef Poniatowski. Cmentarz miejscowy przyjął prochy Chłopcickiego. Korespondował z właścicielami hrabstwa tęczyńskiego Norwid i miał dla dóbr niewykonane zamówienia. Wspomina mile w listach Orzeszkowa. Do willi Pareńskich w Tęczynku zajeżdżał Wyspiański. W niedalekiej Rudawie pisał „Legiony” Sienkiewicz. Lata wojny spędził i zmarł w tej samej Rudawie Karol Koniński, tak mało znany a tak niezwykle charakter i umysł Polski międzywojennej.

Tam, gdzie ów stok Krzeszowic wysła nad dolinę swoją falę ostatnią, gdzie widokiem swoim ogarnia i wschód i południe krajobrazu, dnia 25 czerwca 1850 roku położono kamień węgielny pod budowę pałacu Potockich, przyszłego Haus Kressendorf. Pałac zaś pomyślano tak, by fasadą swoją patrzył na „o milę stąd, na wyniosłej górze, stojące, opuszczone już ze wszystkim ruiny ogromnego Tęczyńskich zamku”. Dnia tego w dziejach przyszłego Haus Kressendorf zadzierzgnął się jeden z najbardziej wymownych pod względem socjalnym punktów jego historii. By go zinterpretować należycie, zapytać musiny, z czego ten kamień węgielny powstał i dlaczego powstał.

Z czego? Jesteśmy w hrabstwie tęczyńskim. Tak zwał się rozległy kompleks dóbr, którego początek w tych ruinach o milę odległych. Były one siedzibą jednego z najpotężniejszych rodów Polski piastowskiej i jagiellońskiej. Autentyczni hrabiowie cesarstwa rzymskiego niemieckiego narodu. Losy ich podobne są losom tych wielu rodów małopolskich, co położywszy podwaliny pod Polskę jagiellońską, wygasają za tej dynastii i z początkiem XVII stulecia. Jak Firleje, Herburty, Kmity, Ostrorogi, Koniępcowscy, Szydłowiccy, Wapowsy i ileż pomniejszych. Mury zamku odbijają wiernie przemiany rodu i późniejsze przemiany Rzeczypospolitej szlacheckiej: z gotyckiego, obronnego zamczyska wspaniała pałac renesansowy, to przemiany rodu, jedna z nici ogólnego zaniku rycerstwa średniowiecznego. Później, czasu wojen szwedzkich, szczególnie wojny północnej, pogorzeli i ruina, ruina po dziś dzień imponująca swoim rozmiarem — to przemiany Rzeczypospolitej całej. Dobra i tytuł hrabstwa tęczyńskiego poprzez Sieniawskich, Czartoryskich i Lubomirskich przejdą małżeństwem na Potockich linii prymasowskiej.

Zatem: świetność warstwy, staczając się z wyniosłości zamku tęczyńskiego, na chwilę równą latom 1850—1914, przystaje na pagórze o wiele niższym, by zejść z niego już w niepowrotne i nieodwracalne. Dlatego był w tym symbol mimowolny, że Haus Kressendorf w hrabstwie tęczyńskim od swego kamienia węgielnego ruinom patrzył w twarz, chociaż ich nazwę dziedziczył.

Dlaczego jego mury powstają? Przypomnieć musimy trzech pierwszych posiadzcicieli Krzeszowic z rodu Potockich. W ich następstwie odbija się doskonale proces kotwiczenia arystokracji w rzeczywistości galicyjskiej. Pierwszy z nich to zapisany trwale w naszej literaturze swym „Rękopisem znalezionym w Saragossie” Jan Potocki. Jeden z najciekawszych okazów późnego oświecenia, z jego mistycznymi i naukowymi skłonnościami, pierwszy archeolog polski i etnograf ogólnosłowiański, podróżnik i literat. Dzisiaj, kiedy dla zniweczony przez Niemców Słowiańszczyzny zachodniej budzi się tyle zainteresowania, godzi się pamiętać, że Potocki był pierwszym, który wiedział, opisywał i przekopywał ziemie Słowian zachodnich.

W dziejach hrabstwa tęczyńskiego ten „błąkający się duch niepozabawiony uroku i szlachetności”, jak go nazwie panegirysta Potockich Ludwik Dębicki, niczym się nie zapisał. Trzy następne pokolenia Potockich budują Haus Kressendorf w sposób równie znamienity dla rozwoju swojej klasy, co... architektury XIX wieku. Syn Jana Potockiego Artur, oficer

napoleoński, jest pierwszym, który widzi swoją przyszłość w porządku ustalonym przez Kongres Wiedeński. Stajemy u początku procesu, który na długie dziesięciolecia prymatu i dobrobytu wysuwa arystokrację na czoło przemian socjalnych Galicji. Pierwsze zamysły Artura posiadają jeszcze zakrój napoleoński. Plany pałacu zostają zamówione u głośnych architektów Percier i Fontaine'a, twórców stylu Cesarstwa, budowniczych Palais Royal, nowych części Louvre'u. Plany pełne cesarskiego rozmachu, niemożliwe do zrealizowania na krzeszowickim pagórk. Następnym projektem pochodzą od nie mniej głośniego architekta niemieckiego, Fryderyka Schinkla, posiadają sens i proporcję i również nie zostają wykonane. Mimo to w dziejach pałacu odegrają rolę w stulecie później. Artur Potocki przedwcześnie umiera — 1832 rok, projekty są o dziesięć lat wcześniejsze.

Nowe wstrząsy, nowe daty. 1831, 1846, 1848. Lecz my przydamy daty inne: Szujski rodzi się w roku 1835, Stanisław Koźmian 1836, Stanisław Tarnowski 1837, Bobrzyński 1849. Kiedy w roku 1850 Adam Potocki, syn Artura, kładzie ów kamień węgielny, mamy w tym akcie przykładową komórkę socjologiczną. To przyszłe pokolenie konserwatystów galicyjskich, autorowie „Teki Stańczyka”, osadza się ostatecznie w polityczno-socjalnej rzeczywistości Galicji. Osadzamy się, budując dom. Z domu na wzgórze w Krzeszowicach nie wyjdzie żaden już pisarz ani twórca nowych idei. Jan Potocki był tu przypadkiem. Adam Potocki, budowniczy pałacu, jest zato jednym z naczelnych budowniczych stronnictwa Stańczyków. On pierwszy podpisuje adres hołdownicy do Franciszka Józefa, gdy urodził się następca tronu — Rudolf z Mayerlingu, — adres przez współczesnych zwany ironicznie „pieluszkowym”. Jego pióra są słynne słowa z roku 1868: „przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy”. Za młodu był pupilem Krasieńskiego, jemu Krasieński poświęcił „Pokusę”, z myślą o nim pisał „Resurrecturis”. Jakimi ścieżkami od takiej poezji wieszczkiej dochodziło się do adresu pieluszkowego, pytanie to zbyt skomplikowane, by w krótkich uwagach móc je rozjaśnić. Lecz pytanie, którego pominąć nie sposób.

Syn Adama Andrzej, zamordowany przez Sycylijskiego za politykę faworyzującą Starorusinów, namiestnik Galicji w latach 1903—1908, przebudowuje i zmienia pałac dalej. Czyny to w coraz fatalniejszy sposób. Kiedy przejrzyste i zwarte projekty Schinkla, czy trzeciego z projektodawców Lanciego, porównać z osiągniętym po roku 1890, po 70 latach przebudów, prób i projektów stanem, trudno o jaśniejszy przykład upadku sztuki architektonicznej w drugiej połowie XIX stulecia. Niekształtny, nieproporcjonalny, z fatalnym układem czterech pseudowień nad częścią środkową, pałac krzeszowicki nie reprezentacyjny, jak zamierzano, w swojej bryle nie posiada.

W zaraniu pierwszej wojny światowej kończy się świetność hrabstwa tęczyńskiego. Jak każda przejrzalność formy już martwiejącej, ta świetność jaśnieje niejednym blaskiem. Część rozległych lasów przemieniona w zwierzyniec. Sarny i ministrowie. Specjalna bażantarnia. My, urodzeni w tych latach, już tego nie pamiętamy. Pragniesz wiedzieć, jak wyglądało — patrz do klasyka tej warstwy i tych lat: polowanie na bażanty w „Sprawie Dołęgi” Weyssenhoffa. Tor do wyścigów konnych i odrębny tor do biegów z przeszkodami. Kryte trybuny. Wreszcie — w miasteczku, skąd nie odgałęziają się żadne magistrale, przystawały pociągi pospieszne, dążące do „Widnia”. Miasteczko namiestnika. Dzisiaj z tych wszystkich urządzeń i świetności tylko wspomnienie i zapomnienie.

Ale w miasteczku rzezonym, już w latach opowiadanych, odgałęziały się tory, których nie wyczytasz w żadnym rozkładzie jazdy, a przecież tory, jakie na podobieństwo nowej

tkanki narosły niepostrzeżenie na miejscu tkanki martwiejącej. Bocznic kolejowa do kopalni węgla „Krystyna” w Tęczynku. Kiedy w latach niepodległości kopalnia nie wytrzymała konkurencji węgla górnośląskiego, bocznic nie była martwa, obsługiwała bowiem łomy bazaltu w Niedźwiedziej Górze. Bocznic do ładowni łomów porfiru w Miękinii. Od ładowni zaś do samych kamieniołomów kilka kilometrów kolejki linowej. Bocznic niewielka do wapiennika w Gwoźdźcu.

Już pierwsza z tych bocznic symbolicznie przekroiła zwierzyniec i lokomotywa wypłoszyła sarny. Lata dalsze, międzywojenne i ostatecznie, nie powstrzymały tego rozrostu. Przybyła bocznic do browaru i fabryki marmelady w Tęczynku. Wreszcie chłopcy z „Baudienstu” potem swoim i niedożywieniem wykroili długą i trudną technicznie bocznicę do nowych kamieniołomów w Czatkowicach. Na krótki czas ten tor włączył nową tkankę Krzeszowic w system niemieckiego niewolnictwa. Kamieniołomy zainwestował centralny koncern niemieckiego przemysłu chemicznego, IG Farben-Industrie. Swoim wapieniem dewońskim, który dzięki wyjątkowemu układowi geologicznemu w tym jedynym miejscu Europy wyziera na powierzchnię ziemi o krok od wapieni jurajskich, obsługiwały one wytwórnię gumy syntetycznej i jej pochodnych w Dworach pod Oświęcimiem. Dla armii niemieckiej szła guma, dla robotników... niełamiące się grzebyki, w które dobrze była zaopatrzona kantyna łomów. Dwory zaś obsługiwali niewolnicy oświęcimskiego obozu. Krąg wyzysku, zwany „socjalistycznym” porządkiem pracy w „nowej Europie” (germańskiej), rozpoczęty na półniewolnikach z „Baudienstu”, z dziwną konsekwencją zamykał się tutaj.

Krąg przysł. Lecz nowy obraz hrabstwa tęczyńskiego, który tak nieprzerwanie i konsekwentnie narósł, pozostaje. Sieć rozprzestrzeniająca się z niewielkiego dworca pokryła już całkowicie dawną komórkę socjalną Potockich. Jej ostatecznie ogniwo urzemy, kiedy dzieje Haus Kressendorf doprowadzimy do dni, w których piszę.

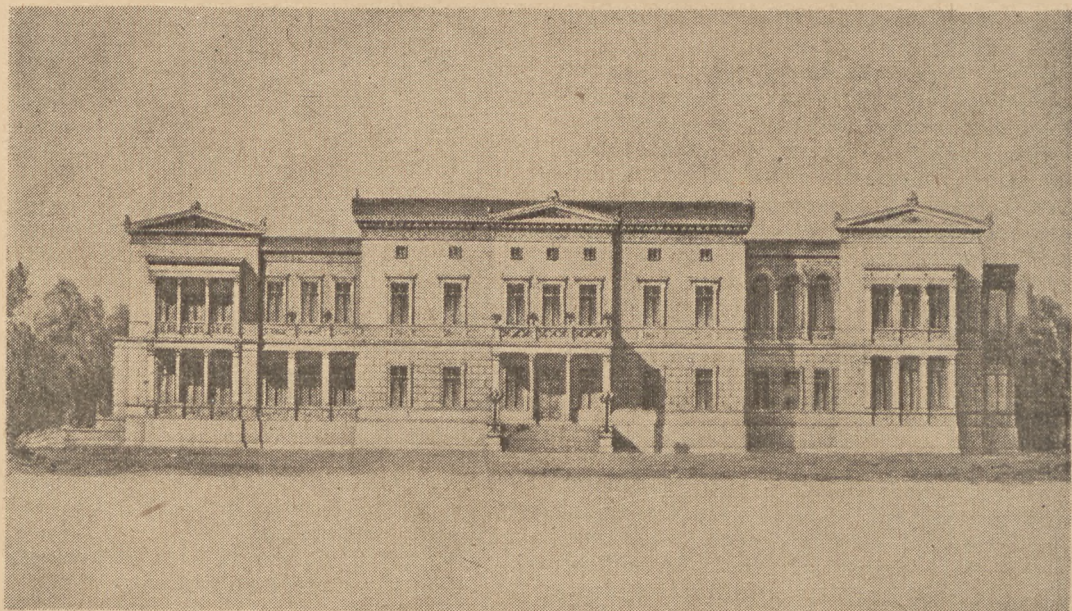
Różpoczynaliśmy cytatem z Niemcewicza. Początek nowego procesu dostrzegł on równie dokładnie, co najwinnie: „Blisko Tęczynka znajdują się od dwudziestu kilku lat odkryte węgielne kopalnie, częścią do księżnej Iaci Lubomirskiej, częścią należące do innych. Węgiel ten nie jest lśknący, nie jest najlepszego gatunku, lecz przez zakaz od austriackiego rządu wywożenia drzewa z puszczy niepołomickiej, węgle z tej kopalni, a nie równie więcej z kopalni narodowych w Jaworznie, opatrują opalem Kraków, Wieliczkę i inne miejsca pobliskie. Byłem przy wybieraniu szyby jednej: węgle leżą tam warstwami, warstwa ilowatej ziemi i warstwa węgla. Dobywający je górnicy o kilkadziesiąt łokci głębokości, biorą po 1 floren na dzień; skromna zaiste zapłata za tę ciężką podziemną pracę. Przyzwyczajenie, potrzeba, czynią tę pracę znośną a może i przyjemną.”

Prymityw pracy i płacy niewiele się zmienia, kiedy miejsce hrabstwa tęczyńskiego zajają

HAUS KRESSENDORF.

Drugi węzeł dziejów przypadnie bowiem w stulecie później od dnia kamienia węgielnego. Zapowiedzieliśmy, dlaczego on przede wszystkim wart jest uwagi: przecinają się tutaj nici, wywodzące się nie tylko z obrębu hrabstwa tęczyńskiego, ale z zakresu przemian, roszcujących sobie pretensje do panowania nad całą Europą.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego pałac wegetował. Nie oznaczał żadnych przemian, żadnego sensu nowego. Był i tyle. Mieścił cenne archiwa, zwłaszcza masonskie, jakie właściciele, przyznać to trzeba, przekazali latem 1939 roku do archiwum Akademii Umie-



Fasada pałacu krzeszowickiego według projek tu Lanciego. Rysunek Pokutyńskiego (1858)

jętności. Uchroniło je to przed zniszczeniem, którego wnętrze zagnało we wrześniu 1939 roku.

Którejś niedzieli pod koniec kwietnia 1940 roku, trudno dzisiaj powiedzieć przez kogo naprowadzony, zjechał gubernator Frank. Ogładnął pałac, folwark, okolice. Całość musiała mu przypaść do smaku, albowiem w niewiele tygodni rozpoczęły się gorączkowe prace nad przebudową i urządzeniem wnętrza. Równocześnie dobra hrabstwa tęczyńskiego, zresztą maleńkie poza rozległymi lasami, miały przejść na własność każdorazowego gubernatora generalnego. Do tej dotacji dynastycznej jednak nie doszło, podobno dlatego, że Trybunał Administracyjny w Lipsku samej nieobecności właścicieli nie uznał za dostateczny powód do przelania ich majątku na imię Franka. Całość przeszła pod władzę „Liegenschaftu“ jako „Staatsbetriebe Kressendorf“. Lasy, folwark, tartak, zakłady ceramiczne.

Przejęcie dóbr miano uczcić w sposób bardzo germański i bardzo makabryczny. W okolicy znajduje się zbiorowy grób kilkudziesięciu dywersantów, rozstrzelanych przez cofające się wojska Śląska Górnego. Kazano już przygotować trumny i zwłoki miano przenieść uroczysto — gdzie? — właśnie na dziedziniec ruin zamku tęczyńskiego. Tym aktem przeszłość hrabstwa z jego wyglądem dzisiejszym miała być spięta jedną kłamrą. Pomysł nie został wykonany. Szkoda, tak był charakterystyczny.

Prace nad przebudową trwały wiosną i lato 1940 roku, pod koniec pracowano dniem i nocą. Projekt przebudowy pochodził od architekta Herberta Pohla, urządzili i wykonali wnętrza architekci Koetgen i Horstmann. Kierowali się w swoim przedsięwzięciu dwoma wskazaniami: higiena i reprezentacja. Higienę rozwiązano w prosty sposób, wedle powszechnej na „Ostraum“ recepty niemieckiej: ten kraj posiada za mało WC i łazienek, by mógł być kulturalny. My ich posiadamy znacznie więcej, więc w tej samej proporcji jesteśmy bardziej kulturalni. Wmieszczono przeto w budowlę niezliczoną ilość WC i łazienek. Wszystko z kafelkami.

O reprezentacji panów Koetgen i Horstmann warto pomówić szerzej. Najlepiej ją poznamy, zaglądając do kartek inwentaryzacyjnych, naklejonych po blejtramach obrazów wiszących na ścianach Haus Kressendorf. Nie spodziewano się zapewne, że polskie oczy będą do owych kartek zaglądać, nikt bowiem nie pokusił się wcale, ażeby je usunąć, jak wydrapywano na przykład z pochodzącej z Belwederu sypialni napis w drzewie, do kogo należała. Kartki głoszą: Muzeum Narodowe w Krakowie, Warszawa, Muzeum Miasta Warszawy, Gmach Reprezentacyjny Rzeczypospolitej, Łazienki, Belweder, Gabinet Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kolekcja Pinińskiego i tak dalej. Nawet naklejek, świadczących, że cykl Canaletta „Warszawa“ znajdował się czasu ubiegłej wojny w leningradzkim Ermitażu, nie zdjęto. Na meblach, dywanach, zegarach, porcelanie, gobelinach rzecz podobna.

Kradzież? Nic podobnego. U początku sprawy był jesienią 1939 roku dekret gubernatora, jedno z pierwszych jego zarządzeń, którego mocą wszelkie dzieła sztuki będące w posiadaniu prywatnym i muzealnym „zabezpiecza się na rzecz ogółu“. Dekret umyślnie sformułowany tak ogólnikowo, by dawał podstawę prawną dla wszelkiego rabunku. Dla pani gubernatorowej dystryktowej, która podobająco się jej świecznik muzealny „zabezpiecza“ we własnym mieszkaniu, dla pana architekta, który meble muzealne „zabezpiecza“ znów u siebie, i tak w nieskończoną ilość wydań. Panowie Koetgen i Horstmann z „własnych“ składów „dostarczali“ urządzenia gubernatorowi. Meble i przystroje „zakupywali“ zaś u państwa, które je prawnie zabezpieczyło; „zakupiwszy“ — „odsprzedawali“. Nawet krag Dwory—Czatkowice nie zamyka się pięknie od tej ulegalizowanej i syjącej piękne dochody grabieży. Kiedy bowiem nie starczyło z muzeów i pałaców polskich, urządzenie przyjeżdżało z Francji; zważmy synchronizm dziejowy — jesteśmy w okresie kapitulacji

Francji. Była to zatem typowa hitlerowska creatio ex nihilo pilato.

Przejdźmy chociażby kilka sal. Z kredensu, urządzonego z wszelkimi szykanami, wkraczamy do kremowej sali jadalnej. Wspaniałe wazy, olbrzymi dywan perski. Czarną kawę pijemy już w ogrodzie zimowym, przylegającym do sali, wśród palm i egzotycznej roślinności, w wysokiej ośmiobocznej rotundzie z kopią Thorwaldsenowskiego „Merkurego“ pośrodku. Jedyna to pozostałość dawnego pałacu Potockich. Muzykujemy, kwartet, mała orkiestra smyczkowa, obok w zielonej sali muzycznej. Odpoczywamy w dalszych gabinetach, ciesząc oczy pięknym meblem empirowym, zegarem stanisławowskim. Ci parweniuse „narodowego socjalizmu“, dla których usłano to gniazdko, umieli podpatrzeć smak wielkopaniński, potrafiliby się nim cieszyć, niestety — o parę pokoleń za późno i w sytuacji tak przdziwnej, że nie sposób pojąć ich pewności siebie.

Najpierw pewna przypuszczalna cyfra. Przebudowa w latach 1940 i 1941, kiedy siła kupna złotego niewiele się różniła od przedwojennej, kosztowała prawdopodobnie 6—3 milionów złotych. Nawet odliczając zarobki przy transakcjach, o jakich była mowa, nawet pomijając, że robotnikom i rękodzielnikom płacono ile zaśpiewali, suma ogromna. Toczy się najstraszliwsza z wojen, o której propaganda hitlerowska ustawicznie piała, że chodzi w niej o „nagi byt“ narodu niemieckiego, że wytężone przeto być muszą wszystkie jego siły a poniechany każdy zbytek. Tak wygląda fasada, w tych milionach podszywka rzeczą.

Sens moralny tego cynicznego zakłamania byłby nam ostatecznie obojętny, gdyby nie wzywały spod niego dwie sprawy — jedna czysto polska, druga powszechniejsza. Pierwsza dotyczy reprezentacji panów Koetgen i Horstmann, kiedy się ją przymierzy do oficjalnego stosunku Niemców wobec dorobku kultury polskiej. Stałym argumentem kulturalno-historycznym imperializmu niemieckiego na naszych ziemiach było twierdzenie, że wszystko co cenne w tym dorobku, jest pochodzenia germańskiego. Od Gotów, ojców Goralenvolku, po c. k. biurokrację galicyjską. Zgodnie z tym gubernatorowi Frankowi stopy ogrzewa — dywan konstytucyjny, czy cięszy — waza i obraz Stanisława Augusta, odpoczynek daje — fotel Piłsudskiego. Nawet jada na śnielowskiej zastawie prezydenta Mościckiego, a orzeł polski, zdzierany skrupulatnie z herbów i budynków, tutaj go nie razi. Jest w tym postępowaniu gruby nieporządek. Ktoś, kto reprezentuje przekonanie, że kultura polska niczego nie wydała, nie powinien się otaczać wazami Stanisława Augusta ani jadać na porcelanie prezydenta państwa. Skoro zaś to czyni, mało że jest złodziejem — staje się człowiekiem, któremu to, czym rzekomo pogardza, właściwie imponuje. Imponuje tak dalece, że nie śmie się do tego przynależać.

Przebudowa nie tknęła zewnętrznego wyglądu pałacu. W tym poszanowaniu mamy nowe, a wiece zabawne oblicze kulturalnego argumentu germańskiego. Wśród architektów zajętych przebudową musiała zapewne krążyć głucha wieść o udziale Schinkla w powstaniu pałacu. Wobec tego mimo oczywistej brzydoty i niekkształtności budowli, wykluczającej odpowiedzialność za nią architekta również wielkiej klasy, mimo znanego notorycznie faktu, że pałac powstał w kilkanaście lat po śmierci Schinkla, uznano że wygląd zewnętrzny spoczywa in odore sanctitatis germanicae. Rychle badania archiwalne samych Niemców (por. kwartalnik „Die Burg“ ze stycznia 1944) ograniczyły odpowiedzialność Schinkla do właściwego rozmiaru, jednak teza nietykalności pozostała i ostrzegła Haus Kressendorf przed jedną, niestety, sposobnością nadania mu godniejszego wyglądu. Szczegół krzeszowicki był bowiem niezmiernie dogodny dla całej tezy: oto każdemu ciosowi miecza po wsze wieki zdobywającego ponownie niemiecki Wschód, towarzyszą ślady twórczego ducha germańskiego czasów minionych. Ślady te są „święte“.

Kiedy 19 stycznia z pierwszym oddziałem Armii Czerwonej wchodziłem w mury Haus Kressendorf, ciekaw jego wyglądu, papiery, dokumenty, niemiecka biblioteka, ubrania i bielizna, co najcenniejsze obrazy były wywiezione. Otwarte szuflady i szafy świadczyły o pośpiechu, z jakim to czyniono. Na biurku Franka leżał najświeższy, styczniowy zeszyt czasopisma „Das Generalgouvernement“. Lecz słój z kompotami i butelek wina została w piwnicach ilość nader obfita. Raczili się nimi znużeni żołnierze. Te słoje i butelki najlepiej wprowadzają w tę powszechniejszą, europejską część usankcjonowanej grabieży. Chodzi o proste pytanie: dlaczego tak szybko biologiczny witalizm ideologii hitlerowskiej ukazał swoje wspólne oblicze — obżarstwa i wygodnictwa? Wszak prosty rozsądek zalecał jeszcze trochę cierpliwości, a później dopiero raje w cieniu zwycięskich mieczów.

Odpowiedź spoczywa we wschodnim obliczu niemieckiego światowida. Siedzący pośrodku Europy, Niemcy zawsze inną twarzą zwracali się ku jej zachodowi, inną ku jej wschodowi. Jeżeli zachód tak długi pozwalał się mamie przekonaniem, że środek Europy naprawdę nie z geografii tylko, ale z samego dna kultury do niej przynależał, to dlatego, że prawdziwego oblicza germanizmu nie widział on prawie nigdy. Dostrzegał jedynie uśmiech, jedynie pozór, podawany tym narodom, wobec których Niemcy nie śmieli się obnażyć. Prawdziwe oblicze znali tylko Słowianie, szczególnie my Polacy. Oblicze germańskie, kiedy opadną z niego wszelkie maski, a wyjrzy sama naga wola przemocy, rozrostu bezwzględności, tępoty psychologicznej, niszczytelstwa pod zaspokojenie własnego brzucha. Jest gorzkim, na szczęście całe niespóźnionym tryumfem Słowian, że tej wojny ową prawdziwą, dotąd jedynie zwracaną ku wschodowi twarz niemieckości ujrzęła cała Europa. Bo oszołomionym powodzeniami w tej wojnie wydało się, że nareszcie wszędzie, nie tylko na wschód od Odry, mogą być sobą.

Był jednak dział rzeczywistości, na którym oblicze niemieckie zachowało swoją dawną dwoistość: sprawę kultury. Ileż naczytaliśmy się na temat dowództwa niemieckiego, które w swój plan operacyjny wciągało każdą katedrę francuską, byle jej nie uszkodzić. Ile samochwałstwa, że ani jeden obraz nie został rzekomo skradziony z galerii francuskich. Dywizja SS w sposób wzruszający ratowała bibliotekę z Monte Cassino, a inny generał SS lubelskiemu prałatowi wręczał kielichy i ornaty „uratowane“ z Kowla przed wojskami sowieckimi. Słowem, armia złożona z samych muzealników i kustoszów. Byle nie ujrzeć jej wschodniego oblicza. Pomniki miast polskich, rękopisy Biblioteki Krasieńskich, piwnice krakowskie, zatłoczone zbiorami wleczonymi przy odwrocie z Ukrainy, po cóż to wylizać! Znamy doskonale — aż po Haus Kressendorf i jego kompoty.

Od zachodu była to bowiem „obrona wspólnego dorobku kultury europejskiej przed zalewem bolszewickim“. Od wschodu widzieliśmy, czemu ta obrona miała służyć: nasyceniu, nareszcie nasyceniu w jego najprostszym pojęciu. Nasyceniu, które najpierw usunie wszelkie ślady wspólnoty europejskiej, istniejące w kulturze zjadanego, a później nareszcie strawi wszystko pozostałe. Dlatego w Haus Kressendorf polskie były jego dwie kondygnacje, zabytki po ścianach i kątach oraz służba w piwnicach, dla dozoru kompotów, win, zmiatania dywanów. Zabytki, które bez pośredniczącego głosu same nie przemówią, i służba, która niczego nie rozumie.

Na 1 września 1940 roku przebudowa części reprezentacyjnej została ukończona. Dnia tego pod szentandarami ze swastyką trębacze z „Hitlerjugend“ głosili przyjazd dygnitarzy hitlerowskich. Goering, Goebbels, podobno Hitler. Krótko potem „Krakauer Zeitung“ przyniosła opis tej inauguracji i po raz pierwszy pojawiającą się wówczas nazwę siedziby —

JERZY ZAGÓRSKI

WIECZÓR W WIELISZEWIE

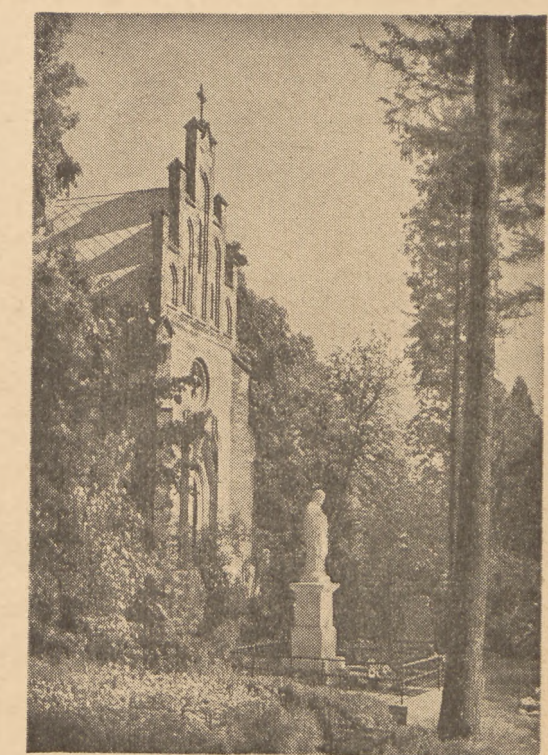
Kończy się czerwiec. O tej porze roku
Wrzos w najgęstszej zieleni przyplynie
W sosnowym borze pokonał igliwie
I ziemię dźwiga z brązowego mroku,

Ale weselsza od wrzosa miętlica,
Która ma barwę słońca w chmurze piasku,
Jakbyś słomiany fioleń w srebrnym kasku
Zbełtał i rozlał po tych okolicach,

Jeszcze zwycięża wszędzie wzrostem wrzosa
I ona sprawia, że rozchodnik żółty,
Mech oliwkowy i różowa smółka
Swoje przyziemne przytępiły głosy.

Tak przyjacielu. Przy wzgórzach jałowych
Możesz niejedną dzień tu przeżyć w kwiatach,
Nim wieczór w mokrych Chopina poświatach
Zagra na sosen organach pąsowych.

Ty za księżycem ruszysz wędrowniku
Ku jaśminowym gwiazdozbiorów krzewom,
I zagra w tobie jak skrzypcowe drzewo
Niebo na leśnej ścieżynie chodniku.



Mauzoleum gen. Chłopickiego na cmentarzu w Krzeszowicach

„Haus Kressendorf“. Po wieczne czasy świadectwo niemieckiej odbudowy, woli prowadzenia poczętego już w głębokim średniowieczu dzieła przodków itd., itd. Wnet i samo miasteczko przechrzczono na „Kressendorf“. Pałac zaś, chociaż odświeżony i przystrojony germańskim argumentem historycznym, wegetował jak przed rokiem 1939. Rodzina Franka mieszkała krótko, okazało się bowiem, że pani gubernatorowej nie dogadza klimat miejscowy.

Na tym się dzieje nie kończą. Jest aż do odwilży ciepły, słoneczny dzień lutego. W zimnym, niebieskawym krajobrazie tego czasu pałac płonie żarliwie swymi ścianami. Na zewnątrz żadnych ran nie dostrzeżesz. Wnętrze jest ponure, złupione. Pozdzierane obicia z foteli. Walają się strzępy beczennych dywanów. Lecz to zaniedbanie czasowe jest tylko epizodem, otwierającym lepszą i sensowniejszą przyszłość

AKADEMII LEŚNEJ W KRZESZOWICACH.

Do tego dobija nawa Haus Kressendorf w hrabstwie tęczyńskim. Nie łupieska i cyniczna reprezentacja najeżdźcy. Nie pusty i mało komu przydatny pałac prywatny. Na bramach parku i budowli bieleją nalepki, że zostają one przeznaczane na Akademię Leśną i Państwowy Instytut Badań Leśnych w Krzeszowicach. To poczynające się ogniwo dziejów. Haus Kressendorf pozostanie jego ogniwem trwałym. Czuwa już bowiem nad nim gwarant. Przed frontem budowli przechadza się wartownik, żołnierz Rzeczypospolitej. Oto zarazem, by do zapowiedzi powrócić, ostatnie ogniwo sieci, pod którą ginie utrwalona przed wiekiem komórka socjalna.

Czym zaś w tym całym rozwoju okupant niemiecki? Tym jednym zdaniem: takie raje w cieniu takich mieczów są niczym raj bliżni. Wypędzają z niego i nawet wspomnienia nie zostaje. Wypędzają wraz z fałszywymi prorokami.

W poprzednim (13) numerze „Odrodzenia“ z dnia 25 lutego: Zofia Nałkowska: Węzły życia. — Mieczysław Jastrun: U przyjaciół. — Julian Przyboś: Do robotnicy. — Jerzy Putrament: Warszawa w lutym. — Jan Kott: Pamięć Ojca. — Wacław Ostrowski: Urbanistyka nowa a dawna. — Czesław Miłosz: Miasto. — Adam Włodek: Rozrachunek. — Zbigniew Bieńkowski: Kształt nagły. — Stanisław Witold Baliński: O, kocham Kraków... — Zofia Drożdż: Pierwszy uśmiech. — Janina Kulczycka-Saloni: Godzina strzeżona. — Artur Sandauer: Szkice poetyki Przybośa. — Artur Sandauer: Pożegnanie z liryką. — 9 ilustracji (w tym 1 rysunek J. Zaruby i 1 zdjęcie A. Forberta). — 8 stron.



Pałac krzeszowicki według projektu Schinkla (1823)

STANISŁAW DYGAT

Niedziela

Sześć dni roboczych spędza Warszawa w trudzie i znoju. Jak pracowite mrówki biegają ludzie po ulicach, taszcząc ciężkie paczki, zgrzani i podnieceni wpadają do sklepów i biur, wypadają z nich, bynajmniej nie uspokojeni, pędzą gdzieś dalej, obsiadają tramwaje niby muchy słój z miodem, nie baczą na łapanek, strzelaniny, gnają przed siebie z błędnym wzrokiem, aby zarobić, aby żyć, aby przeżyć, aby tego tłuszczu trochę, aby chleba bochenek, przeżyć, przeżyć, trzeba ciała tłuszczu i chleba, żeby przeżyć. — Bach! Pada trafiony kulą człowiek z paczką. Halt! Paczka na ziemię pada, rozsypują się mydła, papierosy, ołówki, sztuki materiału, człowieka pchając kolbą prowadzą do budy. Ciałom tych już na nic się nie zda chleb ani tłuszcz. Inne mrówki zakreślają się na chwilę, niespokojne, tracą rozpęd, gubią drogę, a później znów: aby przeżyć, aby przeżyć, aby chleb, aby tłuszcz. Gnać, pędzić, przeżyć!

W licznych kawiarniach obsiadają stoliki niby muchy słój z miodem:

— Wypije pan jeszcze kieliszek? Wollen Sie noch ein Glass trinken? Może szyneczkę? Kaczkę z jabłkami? Łososia z rusztu? Kawę? Krem? Owoce? Więc zrobimy ten interes?

Ci też pracują. Ale tutaj idzie o wyższą stawkę! Przeżyć? Phi! Ale jak przeżyć? Tu już nie o tłuszcz i chleb idzie, ale o koniak i sardynki, przedwojenne mydło angielskie, futro z nurków dla żony, złotą bransoletkę dla kochanki. Nie pędzą, nie gnają! Rozpiera się w fotelach — pańskie zdrowie! Wzrok ich nie jest błędny, ale zimny, wnikliwy — myślisz, że stawiasz ten tu obiad, to mnie kiwniesz? Zobaczymy kto kogo!

Po sześciu zziębniętych dniach roboczych przychodzi pogodny dzień wypoczynku — niedziela.

Są jednak tacy, którzy niedzieli nie znają, nie uznają. Niemordowani w mordowaniu, łapczywi w łapaniu, nieumęczeni w męczeniu, nie zawieszają nawet w niedzielę czapki z trupa czaszką na kołku.

Trupia czaszka i trupia groza unoszą się nad Warszawą tak samo w niedzielę jak i każdego innego dnia.

Ale Warszawa dnia nie uznaje tej możliwości zakłócenia dnia wypoczynku. Niemcy mogli dokonać wielu straszliwych wyłomów w życiu polskim, jeśli chodzi jednak o zwyczaj ludu warszawskiego, nie wynaleźli przeciw nim żadnej nowej broni. Panuje powszechna opinia, że w niedzielę nie ma łapanek. Tej opinii fakty zaprzeczają raz po raz, mimo to wciąż się powtarza: „w niedzielę nie ma łapanek”. Niedziela jest dla Warszawy dniem świętym, w niedzielę usuwa się z pola widzenia wojnę, okupację, grozę, gestapo, gwałt i poniżenie. W niedzielę nakłada się wizytowe ubranie, chodzi się wolno po ulicach, wraca się z kościoła z żonami, dziećmi i paczkami ciastek, idzie się z kwiatami do znajomych, umawia na spacer nad Wisłę, składa popołudniowe wizyty.

W niedzielę zatrzymuje się nad Warszawą Czas, zawisają w przestrzeni zdarzenia dziejów, milkną odgłosy najstraszniejszych burz. Jest tylko niedziela. Niedziela bezwzględna i wieczna, dzień, przez który idzie spacerem Warszawa w wizytowym ubraniu, z paczką ciastek, bukietem kwiatów i niedzielnym uśmiechem na ustach ulic.

Budzę się rano i jak zazwyczaj w okresie okupacji niemieckiej zbyt głęboko zaszyty w noc chroniącą od razów świadomości, nie

CZESŁAW MIŁOSZ

PIOSENKA O KOŃCU ŚWIATA

W dzień końca świata
Pszczółka krąży nad kwiatem nasturcji,
Rybak naprawia błyszczącą sieć.
Skaczą w morzu wesołe delfiny,
Młode wróble czepiają się rynnny
I wąż ma złotą skórę, jak powinien mieć.

W dzień końca świata
Kobiety idą polem pod parasolkami,
Pijak zasypia na brzegu trawnika.
Nawołują na ulicy sprzedawcy warzywa
I łódka z żółtym żaglem do wyspy podpływa.
Dźwięk skrzypiec w powietrzu trwa
I noc gwiaździsta odmyka.

A którzy czekali błyskawic i gromów
Są zawiedzeni.
A którzy czekali znaków i archanielskich trąb
Nie wierzą, że staje się już.
Dopóki słońce i księżyc są w górze,
Dopóki trzmiel nawiedza różę,
Dopóki dzieci różowe się rodzą
Nikt nie wierzy, że staje się już.

Tylko siwy staruszek, który byłby prorokiem,
Ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcie,
Powiada, przewijając pomidora:
Innego końca świata nie będzie,
Innego końca świata nie będzie.

mogę rozeznaczyć czasu ani okoliczności, w których się znajduję. Światło prześwieca przez zaciemniające rolety i wskazuje, że jest już dzień. Patrząc na zegarek i zrywam się z przerażeniem: jedenasta godzina! Haniebnie zaspałem!

Wprawdzie od lat nie mam żadnej pracy, ani obowiązków, ale wstaję codziennie o ósmej rano, a punkt o dziewiątej wyruszasz z teczką na miasto i udaję przed sobą i innymi, że gonię po mieście za sprawami niezmiernie wagi. Przebiegam ulicę śródmieścia, prosząc napotkanych znajomych, by nie zatrzymywali mnie zbyt długo, bo muszę pędzić dalej, wstępując do sklepów, zaofiarowując po bardzo niskich cenach hurtową dostawę najbardziej poszukiwanych produktów, każę się meldować w biurach dyrektorom i informuję się, w jakich rozmiarach i po jakich cenach mogłaby mi firma obiecać dostawę, szukam po księgarniach książek, których tytuł i autora zmyślam, obstaluję w kwaciarniach okazałe wieńce żałobne ze wstęgami i napisem: „Tobie Julku, który przedwcześnie od nas odszedł — koledzy z firmy Litwinowicz i Paciorek”, telefonuję do fotografów zapytując, jaki byłby koszt mojego własnego portretu 16x50, lub zamawiam w kawiarni stolik na osiem osób na popołudnie. Znużony i wyczerpany, powracam do domu koło wpół do czwartej, w tramwaju przepehionym powracającymi z biur i od pracy.

W owych czasach ludzie, którzy nie potrafili tak ze względu na szczególne właściwości psychiczne, jak i szczupły zasięg swoich umiejętności i zawodów, skonkretyzować się jakkolwiek w ramach hitlerowskiej fikcji, różne stosowali metody na przetrwanie jej. Jeden z moich przyjaciół na przykład zastosował coś wręcz przeciwnego. W ogóle nie wychodził z domu i okupację przesiedział w fotelu, nie czytając gazet, nie słuchając wiadomości, nie wdając się w rozprawy o polityce. Osiadł tak dobitnie na marginesie zdarzeń, że gdy raz wdarło się do jego domu gestapo, nie drgnął nawet w fotelu, ani się przeraził. W jego woli przezwyższenia brązowo-zielonej fikcji zlekceważeniem musiało być coś potężnego: gestapowcy spojrzeli na niego, potem na siebie, powiedzieli: „nie ma nikogo” i spokojnie wyszli.

Tak więc zrywam się owego ranka przerażony: od godziny powinienem być w mieście. Podbiegam do okna, podnoszę roletę, strumień światła wdziera się do pokoju, spłókując ze mnie resztki snu. Wyglądam przez okno na ulicę i uspokajam się. Z nieba, z przechodniów, z domów, z drzew, z powietrza, z chodników czytam, że dziś jest niedziela. Nie trzeba kalendarza, by się o tym dowiedzieć. Leniwa ręka Czas wypisuje niedzielę na szyldzie światła. Mogę spokojnie wrócić do łóżka. Wyciągam się leniwie w cieplej jeszcze pościeli i zastanawiam się, jak najlepiej wykorzystać dzień świętego wypoczynku, zanim nowych sześć dni roboczych wciągnie mnie w wir nowej biegania po mieście.

Przypominam sobie nagle, że umówiłem się z młodą autorką Anetką Z. na południowy koncert RGO do konserwatorium. Zrywam się tedy znowu, ubieram szybko i wychodzę.

Mijam parę ulic spoczywających w sennej odświętności, od czasu do czasu gębą bram spluwających pogardliwie człowiekiem i wychodzę na Marszałkowską zdążającą uroczystość do kościoła Zbawiciela na Mszę Świętą. Zamierzam iść pieszo aż do końca, tak ze względu na wczesną jeszcze porę jak i wstręt do tłocznych tramwajów. I bez tramwajów odczuwam tłok dostatecznie. Nocą czy dniem, w domu czy pod gołym niebem czuję, że jestem w strasznym tłoku, że wszyscy dążą do tego, by mnie wypchnąć i zepchnąć. Czepiam się beznadziejnie i kurczowo stopnia i tak nienaturalnie zawieszony jadę nie wiadomo dokąd i nie wiadomo po co, oczekując w każdej chwili zepchnięcia pod koła, które mnie zmiażdżą.

Po ulicy chodzą ludzie, starzy i młodzi, pojedynczo, dwójkami lub kupą. Chodzą zupełnie inaczej niż będą chodzą jutro i niż chodzili wczoraj. Ich postacie nie zdradzają żadnego pośpiechu ani nerwowości troski. Nie zmierzają oni ku żadnym szczególnym sprawom. Chodzenie nie jest dziś środkiem komunikacyjnym, ale celem samym w sobie. Nawet „streify” mają wygląd leniwie niedzielny i mało groźny. Jakiś żandarm, który zatrzymał się przed witryną sklepu z ramkami i oglądał fotografię Smosarskiej, zgubił kolegów i rozgląda się teraz za nimi rozpaczliwie. Ze złości zatrzymuje jakiegoś staruszkę, obmacuje go od stóp do głowy i konfiskuje mu złamany grzebień, który parę kroków dalej wyrzuca.

Podobne sceny zdołają od czasu do czasu ulicę. Niby drzewko, stoi jakiś człowiek z podniesionymi do góry rękami, a dokoła niego pracują ogrodnicy-żandarmi, jakby opryskiwali go swoimi rozpylaczami tępiąc mszyce, ścinali gałązki, szczepili, opatrywali, tępił paszożyty.

Czasem nie zadowolnią się tą pracą ogrodniczą. Drzewko zostaje ścięte i wywiezione. Pochłonie je ogień olbrzymich pieców. Żar-

łocznych pieców w hitlerowskim królestwie nie zaspokaja już prawdziwe drzewo. Chcą ludzi przemienić na drzewo opałowe.

Na przystanku tramwajowym stoi jakiś chłopak w wieku szkolnym z matką. Matka mówi coś do niego, otula mu szyję szalikami i zapina kołnier, który wygładza potem starannie. Nadjeżdża tramwaj, chłopak wsiada, matka patrzy chwilę za nim, a potem robi znak krzyża.

O Matko Polko! Zerwij twemu synowi szalik z szyi, odepnij i potargaj kołnierz! A gdy odchodzi wykrzyw się za nim straszliwie i wywał język na cztery strony świata! Na cóż obarczasz go pieszczołą i troską? Może w tej chwili siedzi już w budzie z szalikiem starannie otulonym dokoła szyi, z kołnierzem zapiętym i wygładzonym i gdy myśli o tobie, ten szalik i ten kołnierz bardziej go dławią i duszą niż będzie go dusić szubienica!

Gdy skopany i zmasakrowany będzie leżał w lochach gestapo, niech nie czuje ciepła twoich rąk, bo będzie go to paliło bardziej niż but i pejcz oprawcy!

A kiedy stać będzie pod murem którejs ulicy z zagipsowanymi ustami i drząc z zimna w papierowym ubraniu, na cóż mu myśleć o ciepłe twoich rąk, które ty będziesz wtedy załamywać!

Matko Polko! Nie dla ciebie teraz pieszczoła i troska macierzyńskiej miłości i nie dla twojego syna! Przez tę miłość bądź dla niego zła, niesprawiedliwa, bij go, maltretuj i głódź. Pamiętaj, że gdy będzie marł w kaźni, nie porównasz niczego z jego cierpieniem, jak kiedy umierając, umierać będzie z wizją ciepła twojej troski i pieczyoty.

Przy rogu Alei Jeruzolimskich pada znie-nacka seria strzałów. W jednej sekundzie powolny i świąteczny tłum rzuca się na oślep Alejami w stronę Nowego Świata. Jest to, jeśli chodzi o Polaków, bardziej strach przed znalezieniem się w strefie incydentu, niż strach przed kulami. Ale biegną i Niemcy. Ta rzeka tłumy polsko-niemieckiego rwąca Alejami sprawia bardzo miłe, sielankowe niemal wrażenie. Wyniosli przed chwilą Niemcy gubią w ucieczce całe übermenschostwo i bratają się w panice z Polakami. Jakiś lotnik kuca beżmyślnie za budką z papierosami, a gruby feldfelbel z żelaznym krzyżem brutalnie odpycha starszą panią tłoczącą się do bramy. Nie robi to właściwie wrażenia brutalności, ale czegoś bardzo sympatycznego: feldfelbel bowiem nie pcha tym razem starszej pani jako najeźdźca, ale jako przerażony człowiek, drugiego człowieka. Był to chyba jedyny raz w Warszawie, kiedy widziałem, że Niemiec potraktował kogoś po ludzku. Rozweselony paniką wśród Niemców tłum szybko się uspokaja. Koło Kruczej jest już wszystko normalnie: jakiś człowiek ciągnie wózek, chichocą dwie pensjonarki, świeci słońce, „streify” obmacują przechodniów.

Idę Nowym Światem i widzę zdaleka Anetkę, która czeka na mnie. Znajduje się jednak w takiej sytuacji, że nie bardzo wypada mi do niej podejść. Stoi z rękoma do góry, czterech żandarmów wraza się w nią rozpylaczami, a trzech obmacuje ją od góry do dołu.

Rzeszo Niemiecka! Możesz spać spokojnie! Twój dzielni synowie stoją mężnie na straży twojego bezpieczeństwa!

Zatrzymuję się o jakieś piętnaście metrów, udaję, że oglądam wystawę i zerkam w tamtą stronę. Właściwie doznaję lekkiego zadowolenia. Anetka jest to stworzenie niezwykle uduchowione i subtelne. Chciałoby się ją siłą ściągnąć z wysokich rejonów, w który wymachuje swoim wdzięcznym i utalentowanym, ale tak bardzo kobiecym piórem. Upiera się przy tym, żeby opisywać najprzeróżniejsze sceny z polskiej martyrologii, ale w jej opowiadaniach gestapowcy wyglądają jak nie-dobre złośliwe duszki, Polacy jak biedne sierotki, a kaźnia jak domek z piernika. Taka jest ta Anetka, zwiewna, subtelna i wysokopienna. Daremnie ją proszę i przekonywam, żeby zeszła w nieco niższe rejony i używała do przyprawy swojej prozy nie tak słodkich sosów.

Ona jest głęboko przekonana, że jej opowiadania pełne są jedności, brutalnej prawdy i grozy. W tej chwili mam więc uczucie swoistego zadowolenia, że cała ta tak bardzo wrażliwa i zwiewna konstytucja psychiczna Anetki doznaje zetknięcia z brutalnością łap i rozpylaczy hitlerowskich. Myślę, że może to ją jakoś urealni i zdusi w niej panięńską, rzewną nutkę.

Żandarmi skończyli swoją operację i teraz żądają „ausweisu”. Bierze go do rąk każdy po kolei i odczytuje od deski do deski, przewraca na wszystkie strony, jeden nawet wacha. Wreszcie zwracają dokument i z wyrazem dumy z rzetelnie wypełnionego obowiązku odchodzą. Obliczyłem, że przez cały ten czas przeszło obok nich co najmniej czterech chłopaków, którym rewolwery wyglądały niemal z kieszeni.

Zbliżam się do Anetki, która zarumieniona poprawia sukienkę:

— Przepraszam, że się spóźniłem — mówię, — ale widziałem, że jest pani zajęta, więc nie chciałem przeszkadzać.

— Ach jaki pan złośliwy! Równie dobrze mogło się to zdarzyć panu, zresztą to wcale nie było takie nieprzyjemne. Zdawało mi się, że siedmiu rozbójników porwało mnie do lasu i tam usułowało mnie zgwałcić. Było w tym coś dziwnego i pociągającego.

Nie ma sposobu na tę Anetkę! Już nawet nie chce mi się jej tłumaczyć, że jest idiotką!

W konserwatorium pełno ludzi i po przegodach ulicznych wpadam w zupełnie niespodziewany nastrój. Jest to występ młodego i zdolnego kompozytora na cel dobroczynny; takie koncerty R. G. O. Niemcy z nieznanymi przyczyn dość życzliwie tolerują.

Spostrzegam, że ludzie są nienaturalnie ożywieni i podnieceni. Tu, w obrębie konserwatorium na dobroczynnym występie zdolnego muzyka, czują się nagle wyswobodzeni od ciężkiej brutalnej łapy, która od lat, dniami i nocami, przyniata ich człowieczeństwo. Koncert z muzykiem na estradzie i z nimi w krzesłach, bez stolików i konsumpcji, przypomina żywo dawne czasy, kiedy ci wszyscy ludzie nie byli bezbarwną, zbitą w zastraszoną kupę gromadą, zwącą się: „die Polen”, która w każdej chwili może zostać zmasakrowana, ponizona, spalona, wywieziona Bóg wie gdzie! Miejsce muzyka na estradzie i ich w krzesłach, jego talent, który im specjalnie ofiarowuje, wyciąga ich z gromady, określa ich poszczególnie, wydobywa na jaw ich funkcje towarzyskie, ich wzajemne hierarchie, przywraca im w świecie przywilej człowieczeństwa. Są swobodni i na ten poranek starannie ubrani w wieczorowe stroje. Traktują się wzajem z wielkim szacunkiem i uznaniem, tytułują się i prawią sobie komplementy. Przed chwilą jeszcze stali może na ulicy z podniesionymi w górę rękami, a jakiś głupi młokos hitlerowski klepał po wszystkich częściach ciała najwybitniejszych nawet z nich profesorów, inżynierów, ministrów, sławnych na świat lekarzy i uczonych. Za dwie godziny wrócą na ulicę i pójdą na podnoszenie rąk, oklepywanie, niektórzy pójdą dalej na rzeczy najgorsze i ostateczne. Ale tymczasem są jak książęta z bajki poprzemieniani w żaby, przez dobrą wrótkę przywrócenia na dwie godziny ludzkim postaciom. Rozlega się jakiś dźwięczny śmiech kobiecy, ktoś komuś podaje ogień, ktoś się komuś kłania. Padają komplementy, zaproszenia. Dwu literatów wychwała wzajemnie swoje dzieła. Ktoś kogoś puszcza pierwszego przez drzwi, ktoś kogoś w ekstazie swobody tytułuje: panie pułkowniku!

Korzystam z tego, że Anetka spotyka przyjaciółkę, wymawiam się bólem głowy i uciekam. Wolę okrutną prawdę ulicy, niż to kłamstwo zaklętych żab, na dwie godziny przywróconych ludzkim postaciom.

Powracam do domu, kładę się na łóżku i leżę już tak do wieczora, nie czytając, nie myśląc.

Wszystko jest nieprawdziwe. Niedziela jest nieprawdziwa i sześć dni roboczych. Nieprawdziwi są przechodnie, nieprawdziwi słuchacze koncertów. Nieprawdziwe są matki, a prawdziwi jedynie synowie pod murami i na szubienicach.

Sciemnia się.

W niezaciemnionych jeszcze oknach snują się postacie. Za ścianą gra ktoś mazurka Chopina.

Nie będę wołał o zemstę za Oświęcim, rozstrzelały uliczne i całą katorgę. Niech o nią wolać ci, którym męczeństwo i łyż większe dały do tego prawo.

Ja dziś krzyczę:

Zemsty! Zemsty! Za nasze dni powszednie i za nasze niedziele!

ADAM WŁODEK

NAJPEŁNIEJSZA ODPOWIEŹ

Bezimiennie poległym na ulicach Krakowa żołnierzom Czerwonej Armii

Biegną, przypadając na rogach ulic.
Pierwsi od pięciu lat żołnierze, co przy nas strzelając — nie strzelają w nas. Dopiero teraz — jak ostatnie naboje z automatu — wyrzucam z siebie zacinającą się słowami myśl:

Jednak
karabin
zabawił.

W te lata — życie było krótkie jak trzask odwiezionego zamka, i długie jak chwila między słowami komendy a wystrzałem.

— Wy, biegnący szaro przez szary bruk! Wasze kule budują światem napowietrzny dach nad głową. Pewniejszy niż zwalony pociskami dom.

Jeszcze przed chwilą liczyłem zawzięcie kroki tamtych — uchodzących. Za skrawiony wrzesień mych siedemnastu lat spokojnie odbierałem dziś ich przerażony wzrok.

Wokół przeciwpancernych pięci — zaciśnięty ich strach. Żelazne pięści zobaczę jutro — niewystrzelone — przy murze...

Nigdy nie dowiem się, dlaczego nie zdążyli zabić spojrzeń mojego tryumfu.

W przeciwnym rowie roślinie w oczach zieleń policyjnego munduru. Samobójczy skurcz dłoni na rewolwerze. Pokątnie zdobyła — nie zetrze tyłu z jego ręki — jedna jego śmierć.

Pewno dlatego nie widzę, jak na wargach trupa osiadł szron: uirwalony ostatni oddech życia.

A dalej:

— Spokojną głową chłonieś chłód płyty chodnika. Przywleczone czylimś bułem zdźbło zmarniętej trawy, kołyszę stępem twój sen...

Skostniałym ruchem odrzuconych od rozbitej piersi ramion, wołasz bezgłośnie: Dlaczego?

Więc chylę się nad tobą — ja — najpełniejsza odpowiedź na pyłajnik twojej na bruku krwi.

Kłęska uperfumowana

Pomimo bezprzykładnego szeregu klęsk, które od czasu Stalingradu z isticie niemiecką systematycznością prześladały Trzecią Rzeszę i jej „wielkiego” wodza, propaganda niemiecka nie obniża tonu. Każdej dotkliwej porażce wtórują zwycięskie fanfary Goebbelsa. I o dziwo, prawie do chwili dzisiejszej istniały w Niemczech grupy ludzi, które wierzyły w oficjalne wynurzenia i czerpały otuchę z syreniego śpiewu ministra propagandy.

Dobrze bowiem przemyślany i nie pozbowiony wyrafinowania jest system propagandy niemieckiej, każdy zaczął komunikat kwatery głównej to małe arcydzieło dowcipu i ekwilibrystyki myślowej. Rzecz jasna: im bardziej pogłębia się klęska Trzeciej Rzeszy, im bliższa końcowej rundy jest rozgrywka, tym trudniejsze jest zadanie Goebbelsa, tym bardziej musi stawać na głowie zany minister, by przed zmartwioną i struchlałą rzeszą rodaków wyczarować z rękawa porażek białe gołębie zwycięstwa i pokoju. To też ostatnie wyczynny propagandy niemieckiej, próby uperfumowania rozkładającego się już trupa Trzeciej Rzeszy budzą raczej niesmak. Natomiast ciekawą i poręczającą jest rzeczka prześledzić metody redagowania niemieckich komunikatów wojennych z okresu, gdy klęska zarysowała się wyraźnie, ale nie wszystkie atuty zostały już stracone.

Takim odcinkiem zmagani wojennych było lato 1943, a zwłaszcza początek wielkiej letniej ofensywy sprzymierzonych roku 1943.

Metoda, której Goebbels nauczył swych wychowanków, polega na prostej zasadzie: unikać wyraźnego, bijącego w oczy kłamstwa, ale, na Boga, nie mówić prawdy, przynajmniej nie mówić tak, by mogła razić i martwić dzielnych Fritzów i Hansów. Komunikaty niemieckie przynajmniej w lipcu i sierpniu 1943 utratę Orła i Charkowa, Palermo i Katanii, zagrożenie Ukrainy i opróżnienie Sycylii. Nawet rozstęp między smutnymi faktami a ich odbiciem w komunikacie nie jest tak duży, nie przekracza z reguły 2—3 dni. Takie wyczynny jak zamilczenie utraty Białogrodu, nieumiarne ważne punktu strategicznego, są rzadkością i świadczą o wyjątkowym zakłopotaniu kwatery głównej. Ale wszystkie wiadomości podane są w sosie, który pozwala strawić najcięższe nawet danie wojenne. Sos ten przyrządzony jest wedle recepty psychologicznej i oparty na dokładnej znajomości przeciwnego Niemca. Każdy komunikat — to samodzielnny bodziec mający wywołać momentalną dodatnią reakcję uczuciową. Nie profesorowie logiki, nie „specje” wojskowej, lecz szary głupi Hans czyta w gazecie, słyszy przez ryczący na ulicy megafon, lub łapie w domu na fali radiowej komunikat kwatery głównej.

Dobrze jest, czy źle? Z tym pytaniem dochodzi Hans do głośnika, megafonu lub gazety. Dlatego pierwszym zadaniem komunikatu jest działać, jako całość, optymistycznie i krzepiąco niezależnie od tego, czy radosne głosi wieści o zwycięstwach, czy opowiada smutne dzieje klęsk. Temu celowi służy nagłówek, w który dziennik zaopatruje wiadomości z frontu: „Straszliwe straty bolszewików”, „Zniszczenie otoczonej grupy wroga”, „Wszystkie ataki na wschodzie odparto”, „Pełny sukces obronny” itd. Temu również celowi służy uogólniający wstęp, który poprzedza zwykle dzienny raport z frontu. Np.: „Bolszewicy nacierali również daremnie na środkowej i południowej części frontu wschodniego.” Istotne, że **daremnie!** Na pytanie czy jest dobrze czy źle, pada odpowiedź: dobrze! Mniejsza o to, że ze szczegółowej części komunikatu dowiemy się, iż tu i ówdzie dokonano włamania w linii niemieckiej. Głupi Hans posłuszał na początku, że nic złego się nie stało, że ataki przeciwnika były daremne. Komunikatu wysłuchał w podniosłym, patriotycznym nastroju. Chropowatości porażek, ukrytych w szczegółach komunikatu, zatrą się wkrótce w pamięci.

Hans jest nie tylko głupi, jest również mściwy i nienawidzi niższego rasowo wroga. Trzeba zaspokoić jego żądę krwi. Dlatego nie wolno zapomnieć w komunikatach o „krwawych stratach przeciwnika”, o „najcięższych krwawych ofiarach”, o „odpartych krwawo kontratakach”, o setkach zniszczonych czołgów i dziesiątkach strąconych samolotów Hans polknie z krwią wroga, najgorszą, najbardziej bolesną utratę terenu, pozycy obronnych, węzłów kolejowych i miast, zdobytych własnym znojem i krwią.

Hans jest również próżny. Rozpiera go dumna ze „wspaniałej” armii niemieckiej, „niezrównanego” jej ducha i uzbrojenia. Z pogardą Herrenvolku patrzy na kupcyków angielskich, boyów amerykańskich i „dziki step wschodu”. Jakże mile lechce jego próżność, że „wszystkie ataki przeciwnika są (zawsze) bezskuteczne”, „próby przerywania frontu daremne”, uderzenia „załamują się w ogniu obronnym lub gradzie bomb przed liniami niemieckimi”. Natomiast wszelkie kontrataki własne są „uwiecznione sukcesem”, własne wojska „walczą bohaterstwo” i dokonują „nadmorskich czynów męstwa”. A nawet gdy wojska niemieckie „obierając ruchomą taktykę walki, przenoszą się na nowe, z góry upatrzone pozycje”, przeciwnicy „tylko ociągając się idą w ślad za nimi”. Gdzieżby ci tchórze mogli pozwolić sobie na zbliżenie do zwycięskiej armii niemieckiej?

Hans jest wreszcie tępy. Dlatego należy wbić mu systematycznie do głowy największe nawet głupstwa, aż powtarzając się rytm bez sensu utrwalą w nim przekonanie o mądrości wodza, dzielności armii, jakości uzbrojenia i bezmiernej niższości przeciwnika. „Turmhohe Überlegenheit” każdego Niemca! Zwrot ten stale powtarza się w enuncjacjach wielkich wodzów i najlepiej świadczy o tendencjach propagandy niemieckiej.

Pięknie. A klęski? A stałe cofanie się wojsk niemieckich? A utrata linii obronnej Białogrodu—Orla? A konieczność opuszczenia słonecznej Sycylii, osłaniającej „święte filary Europy”? W kuźni Metternicha propagandy powstała broń słowna, która pozwala i te przykrości osłodzić i polknąć jak cukierek. Wszystko zależy od sposobu opowiadania, od elegancji stylu, dowcipu i pomysłowości. Mimo woli przychodzi na myśl anegdota o dwóch recenzentach teatralnych, przychylnym i wrogo usposobionym, z których jeden pisał, że sala teatralna była podczas premiery na wpół pełna, drugi, że była na wpół pusta. Obaj mówili tę samą prawdę, a jakże odmiennie brzmiały ich recenzje.

To też dzielni uczniowie Hitlera i Goebbelsa nigdy nie przyznają, że wojska niemieckie cofają się przed wrogiem. Jak delikatnie opowiedziana jest np. w komunikatach niemieckich historia klęski pod Orłem. Jeszcze 27. VII. 1943 mowa o walkach na **połnoc i południe** od Orła. 1. VIII. komunikat brzmi bardziej ogólnikowo i mówi o łuku Orła. Już 2. VIII.: na **południowy zachód** od Orła. 3. VIII.: na **zachód** od Orła, i wreszcie 5. VIII.: „w łuku Orła w toku skracania frontu, bez przeszkód ze strony nieprzyjaciela przeprowadzono przewidziane od dłuższego czasu opróżnienie miasta Orła.” Przez cały czas ataki bolszewików były według niemieckich twierdzeń odparte. Np. komunikat z 3. VIII. brzmi: „nasze bohaterstwo walczące wojska odparły wszystkie ataki.” Takto pomiędzy jednym „sukcesem obronnym” a drugim komunikaty przemyciły groźną porażkę: przełamanie frontu pod Orłem, okrążenie miasta i utratę jednego z filarów frontu wschodniego.

Ta ostrożność wystawiania się, skłonność do omijania rzeczy przykrych, zamilowanie do metaforycznego stylu przy niemieckiej pedanterii nawet w kłamstwie i ukrywaniu prawdy, wytwarza specjalny język komunikatów. Określonym zwrotem sztabu niemieckiego, brzmiałym na pozór niewinnie, a nawet pocieszająco odpowiadają ściśle określone stopnie klęski.

„Ataki przeciwnika załamały się” lub „ataki odparto”, to znaczy: na razie trzymamy się jeszcze.

„Silne ataki przeciwnika”, albo „ataki wroga, do których użyto nowych świeżo wprowadzonych rezerw zostały odparto” to znaczy: dziś trzymamy się jeszcze ale jutro będzie chyba kłapa.

„Ciężkie walki trwają dalej” — jest niewyraźnie i nie dobrze.

„Ciężkie, **zmiennie** walki trwają nadal” — nie dobrze, biją nas.

„Ciężkie walki **obronne** trwają z niezmierną gwałtownością” — bardzo nie dobrze, leją nas.

„Nacisk nieprzyjaciela się wzmacnia” — rątku, wiejemy! Itd., itd.

Jak sympatycznie brzmi np. komunikat z dnia 21. VII.: „odparto krwawo przeprowadzone na szerokim froncie ataki bolszewickie, lokalne zaś wtargnięcia **zaryglowano**.” Arcydzielnie jest sam termin „zaryglowano”. W tłumaczeniu na język ludzki znaczy to po prostu: nieprzyjaciel dokonał włamania, nie mogliśmy utrzymać pozycji, cofnęliśmy się i wreszcie udało się nam zatrzymać na pozycjach położonych na zapleczu. Zamiast tego przykrego staru rzeczy komunikat wspaniałym stylem metaforycznym mówi o „zaryglowaniu”. Gratulacje, panie ministrze propagandy. A przy tym na wstępie komunikat stwierdza uroczyście: wszystkie ataki odparto.

A jak zgrabnie opisuje komunikat wycofywanie się „w większym stylu”. Te wszystkie: skracania frontu, dawno przygotowane opuszczanie miast po całkowitym zniszczeniu wszystkich wojskowo ważnych obiektów, planowe ruchy, ruchoma walka, taktyka odsuwania się od nieprzyjaciela, który bezskutecznie usiłuje nawiązać z nami kontakt, zanadto są znane i pamiętne i zbyt wiele sławy przysporzyły zdolnemu ministrowi, by warto było szczegółowo o nich wspominać. Wszystkie uperfumują jeden oczywisty fakt: wiejemy, haniebnie wiejemy, co sił starczy wiejemy.

Czasem jednak klęska jest tak oczywista i groźna, że konieczne byłoby otwarte przyznanie. Ale i tu pan minister i jego wychowankowie nie trują rezonu. Utrata Charkowa jest ciosem kolosalnej wagi: otwiera Czerwonej Armii drogę na Ukrainę. W oświetleniu kwatery głównej z dnia 23. VIII. to bagatelka: „Charków, który w ciągu kampanii wschodniej zmienił już kilkakrotnie posiadacza i stanowi tylko **pole gruzów** został **planowo** opróżniony w ramach **planowego** ruchu, mającego na celu odsunięcie się”. Jakże to wszystko planowe i celowe i o jaką drobnostkę chodzi: **o pole gruzów?**

Cóż dziwnego, że przy takich talentach propagandowo-informacyjnych utrata Sycylii,

największej wyspy na Morzu Śródziemnym i kluczowej pozycji militarnej, prześliznęła się prawie niepostrzeżenie przez komunikaty, końcowy zaś jej etap: ewakuacja ostatniego przywódca pod Messyną przemieniła się w tryumf oręża niemieckiego. Wszystkie ataki na Sycylii były systematycznie odparte, wszystkie wypadły odbito, próby przerywania frontu udaremniono, zachodnią część wyspy opróżniono bez nacisku, z nadzwyczajnym powodzeniem stosowano ruchomą taktykę walki, aż wreszcie w dniu 12. VIII. dowiedzieliśmy się, że „ruchy mające na celu odsunięcie się od nieprzyjaciela na skróconą pozycję przywódca mostowego miały planowy przebieg” i w dniu 17. VIII., że „od 14 dni będące w toku opróżnianie wyspy zostało zakończone”

Teatr krakowski

Szczerze trzeba stwierdzić, że nie bez wzruszenia oklaskiwaliśmy dawny zespół teatru im. J. Słowackiego, który przed wznowieniem „Przepióreczki” powiatał ze sceny zebraną publiczność przez usta dyr. Karola Frycza. Frycz podkreślił, że scena ta chce być wierna swym tradycjom i swemu hasłu, wypisanemu dawniej na frontonie gmachu, „Kraków — Narodowej Sztuce”.

Przed powstaniem „Teatru Polskiego” Szyfmana w Warszawie (rok 1913) jedynie scena krakowska, na której działali Koźmian, Pawlikowski, Kotarbiński i Solksi, a przede wszystkim Wyspiański, — jedynie ta scena szukała w teatrze nowych dróg. Teatry warszawskie wiodły wówczas gnuśny żywot, zadowolone ze swego prowincjonalnego szablonu. Działo się to z olbrzymią szkodą i dla dramtopisarstwa naszego i dla społeczeństwa. Dopiero w teatrze Szyfmana Frycz swoimi realizacjami scenicznymi postawił — jak obrazowo wyraził się Witold Noskowski — „do góry nogami warszawski szablon, potem wybił w nim olbrzymią dziurę, a wreszcie stworzył szkołę.” Poza nimi dwoma, lekarstwem na wady scen warszawskich był najlepszy w Polsce na przestrzeni międzywojennego 20-lecia teatr im. Bogusławskiego, teatr Schillera, Horzycy, Zelwerowicza, Drabika i Pronaszki, później działalność „Reduty” Osterwy i Limanowskiego, wreszcie w latach ostatnich znakomity teatr Jaracza. Dzięki tym scenom dokonały się w polskim teatrze głębokie przemiany ideowe i artystyczne. Z chaosu szablonu i bezstylowości, beźmyślności i nierobstwa, dzięki wysiłkowi jednostek wyłonił się program polskiego teatru i jego styl. Styl wyrosły z ducha twórczości Mickiewicza, Słowackiego, Fredry i Wyspiańskiego, styl nawiązujący do najlepszych tradycji krakowskiej sceny, przyswajający wartości sztuki ludowej oraz wchłaniający w siebie i przetwarzający najwybitniejsze osiągnięcia teatrów europejskich.

Scena krakowska w kształtowaniu nowego polskiego teatru nie odegrała żadnej roli. Tu dochodziły tylko echa zwycięskich przemian w innych teatrach.

Schiller wskrzesił wielki dramat polski, stworzył nowy styl polski w stu z górą inscenizacjach, wycisnął na pracy teatralnej piętno swej indywidualności. Nie dopuszczono go tylko na scenę krakowską. Osterwyciagnięto wtedy, gdy się przeżył jako rewelacja artystyczna. Drabika nie pozyskano, tak samo nowego Andrzeja Pronaszki, Horzycy tu nie było, Jaracz czy Daszewski znani byli tylko z kilku gościnnych występów. Trudno wliczać wszystkie nazwiska. Wysocka, dorywczo w różnych okresach tu pracująca, nie miała odpowiednich warunków i współpracowników, podobnie jak wielki tragik Józef Sosnowski.

Karol Frycz zbyt późno otrzymał do swej artystycznej dyspozycji własny teatr. Zaslugi Frycza dla kultury teatralnej Krakowa są znaczne; przede wszystkim podniósł i wyrównał poziom artystyczny przedstawień, udzielił miejsca nowoczesnym prądom, ale w duchu szyfmanowskim prowadzony eklektyzm stylów i ideologii raczej dezorientował publiczność, niż organizował nową kulturę teatralną. Krakowski teatr Frycza nie miał odrębnego i jednolitego oblicza ideowo artystycznego.

Niejednokrotnie przed wojną podkreślałem, że dla należytego wyzyskania indywidualności Karola Frycza, dla dobra teatru polskiego, należało mu powierzyć kierownictwo Teatru Narodowego, który odgrywałby rolę sceny tradycyjnej, rolę podobną do Komedii Francuskiej.

Dzisiaj Kraków będzie mieć dwa teatry z prawdziwego zdarzenia. Wreszcie więc Karol Frycz swą wszechstronną kulturę i swe zamiłowania będzie mógł wyzyskać dla stworzenia teatru tradycyjnego, teatru repertuarowego, dającego nam przegląd całej naszej literatury dramatycznej i historyczny zarys rozwoju naszej kultury teatralnej. Już pierwsze posunięcia Frycza świadczą, że do tego dąży.

Gdy przed „Przepióreczką” podniosta się kurtyna i ujrzeliśmy kochany i czcigodny zespół z seniorami teatru polskiego Solskim, Osterwą, Trzińskim, Chaberskim, Stomą, gdy wiemy, że Frycz pozyskał i innych, z Jerzym Leszczyńskim na czele, nie mamy wątpliwości: krakowski teatr im. J. Słowackiego stanie się teatrem, który pielegnować będzie tradycje tekstu i formy.

i jest „nadzwyczajnym wyczynem armii niemieckiej”.

Tak oto przez odpowiednie rozłożenie akcentów uczuciowych, bagatelizowanie klęsk, wytworzenie specyficznego, nieraz wysoco poetycznego języka wielki mag propagandy niemieckiej potrafił zmówić „dzielny i poczciwym” rodakom zwycięstwa zamiast klęsk, tryumfy zamiast porażek, pokrzepić ich na duchu i podtrzymać gasnącą wiarę w szczęśliwym wyniku rozgrywki.

Nie tylko na uczucie działa propaganda komunikatów niemieckich. Dostarcza ona również „rzeczowych”, „niezbitych” argumentów, że zwycięstwo jest nieuniknione mimo rosnącej lawiny uperfumowanych klęsk.

Czesław Nowiński

Zapowiadając dwie komedie Fredry, w tym „Zemstę” z Solskim i Leszczyńskim, Perzyńskiego i Zapolską, rozpoczął teatr krakowski nową epokę swej działalności wznowieniem „Przepióreczki” Żeromskiego. Miał to być wyraz hołdu dla pisarza, który stał się sumieniem narodu, którego dzieła dziś jeszcze szarpia nasze rany, by nie zablizniły się błoną podłości, by rzeczywistość mógł nadejść dzień, w którym, jak wołał w tragicznej „Róży”, „skruszy się i oknie niewdzięczne i okrutne serce w polskim pokoleniu”. Ale równocześnie, a raczej przede wszystkim, kierownictwo teatru wybierając „Przepióreczkę”, uważało, że daje nam po latach mąk pod okupacją, po latach tragicznych poszukiwań i dążeń, utwór „słoneczny, pełen pogody i nadziei”.

Jakież nieporozumienie, o którym otwarcie trzeba powiedzieć. Pełna wdzięku i... naiwności, ze ślicznym aktem drugim, z melancholijnym wyśpiewem tytułowej piosenki, komedia „Uciekła mi przepióreczka” ma dziś wydźwięk tragiczny i fałszywy, a finał brzmi jak „Miałeś chacie złoty róg... stał ci się ino sznur” z zaczarowanego kręgu chocholego tańca.

Nieporozumienia tkwiące w „Przepióreczce” były już przed dziesięć laty przedmiotem dociekań Boya-Zeleńskiego. Nierozwiązane przez autora problemy usiłował w ówczesnej rzeczywistości naświetlić Jerzy Zawiejski w „Powrocie Przełęckiego”. Dopiero dzień dzisiejszy pokazuje, że „Przepióreczka”, jedno z najszcześniejszych zresztą osiągnięć Żeromskiego, jest tylko uroczym zabytkiem ideologii cierpiętnictwa i ofiary, ideologii romantycznej, mówiącej tylko o jednostce, ideologii, w której siłą fatalną tkwił twórca „Ludzi bezdomnych”. Przełęckiemu idzie o czystość moralną jednostki. Zapiera się siebie. Ale to w wyniku daje zupełną katastrofę dążeń społecznych: wiemy, że po ofierze osobistej Przełęckiego, inne serca bynajmniej nie będą czyste, nie odrodzą się, nie wzmocnią — a czyn społeczny, jak uniwersytety ludowe, jak budowa i szerzenie oświaty, runie. Przełęcki, zwłaszcza w dzisiejszej dobie przeobrażeń i walki o nowe osiągnięcia, — wychodzi na lekkomyślne pustaka, a przynajmniej fircyka ze szlachetnymi pobudkami.

Wybór sztuki nie był fortunny. Dziś problematyka społeczna wysuwa się na plan pierwszy. A tu mamy jeszcze tę kapryśną księżniczkę z dolarami, to grono nauczycieli, podobno dobrych i światłych, ale będących też okazami przedziwnego nabożeństwa, i tych Smugoniów, do których też nie możemy mieć zaufania, bo więcej myślą o sobie, niż o sprawie.

Żeromskiego trzeba czytać, Żeromskiego trzeba znać, jego prawdy i bóle wejdą w krew całego narodu. Ale współżyjąc z Żeromskim, trzeba zastanawiać się nad sobą, nad społeczeństwem, nad narastającą rzeczywistością. Jeżeli już szło o Żeromskiego, może trafniejszy byłby wybór „Sułkowskiego”, czy fragmentów „Róży”. A przede wszystkim szkoda, że teatr Słowackiego nie zaczął działalności od poezji swojego patrona. Czyż jest dziś bardziej aktualne dzieło od „Lilli Wenedy”?

„Przepióreczka” przygotowana została z udziałem Juliusza Osterwy, który przypomniał swego niezapomnianego Przełęckiego. Kreacja to znana i uznana. A jednak dzisiaj jeszcze silniej zarysowują się zastrzeżenia, jakie miał pod adresem modelu i wykonawcy Przełęckiego przed dwudziestu laty Boy-Zeleński, gdy zwracał uwagę, że za dużo w tej postaci tonu lekkiego, kokieterii, niespodzianek. Gra rozkosznie — że użyję starego frazesu — na strunach duszy kobiecej, ale trudno wierzyć w jego wyznanie, że tę kobietę kocha. Jego stosunek do sprawy społecznej, do kolegów także nie budzi wiary w posłannictwo i siłę Przełęckiego. Mimo wszystko jesteśmy pod urokiem Osterwy, zwłaszcza, że przez dwadzieścia lat zrósł się z tą rolą i pogłębił ją. To aktor, jakich daj nam Boże w młodym pokoleniu jak najwięcej. Z wdziękiem i szczerze zagrała Smugoniową **Zaklicka**. Natomiast **Karbowski**, jako Smugoń, przyczynił się do nieporozumień, jakie budzi dziś zakończenie utworu. Grono nauczycielskie zostało reżysersko odmłodzone, ale jeszcze raz okazało się, że nie lata decydują o mądrości i twórczym duchu. Ci nauczyciele bez względu na swój wiek drepczą z woli Żeromskiego po ciasnych podwórkach swoich zainteresowań.

Stanisław Witold Baliński

Mieszaniny

Mądrzy i pełni wynalazczej inwencji kupcy warszawscy w trosce o dostarczenie dumie i przyszłości naszego narodu (mam na myśli dzieci) coraz to bardziej atrakcyjnych zabawek, wpadli pewnego dnia na istic genialny i olśniewający w swej prostocie pomysł. Na wystawach sklepów z zabawkami można było ujrzeć drewnianą imitację broni automatycznej, a pod tym napis: „Nowość! Prawdziwe rozpylacze”. Istotnie rozpylacze te były tak mistrzowsko wykonane, że posiadały nawet jakąś kombinację patyka z gumką, który za pociśnięciem wydawał dobrze wszystkim znany dźwięk: ta-ta-ta-ta-ta.

Ci co znajdowali się pod okupacją wiedzą, czym były rozpylacze. Stanowiły ponury symbol ulicznych okropności i wszystkich niebezpieczeństw czyhających na przechodniów. „Szlizali z rozpylaczami”, „Zaczęli walić z rozpylaczami”, „Wyrznęli w żebro rozpylaczem” itd. Rozpylacz w ręku esesowców polujących na ludzi był zarówno bronią palną, jak i rodzajem głośni, niby berło w ręku króla. Szlachetną dziś dla nas, w ręku polskiego żołnierza broń, broń wycelowaną w pierś Niemca, nazywa się automatem. Ale wtedy lud warszawski, który każde niebezpieczeństwo usiłował osłabić i osmieszyć lekceważeniem, nazwał ją pogardliwie — rozpylaczem.

Kupcy warszawscy wykazali dużą wnikliwość i znajomość psychiki dziecięcej, rzucając na ten miły rynek swoje rozpylacze. Rzecz wiadoma, że wszelkie zabawy dziecięce polegają na naśladowaniu dorosłych. Malcy udają ułanów, lotników, zawiadowców stacji, tramwajarzy, tatusia i mamusię, złodziei i policjantów. Ali Babę i czterdziestu rozbójników. Starają się przy tym zabawy swoje zaktualizować stosownie do wydarzeń rodzinnych, do biegu dziejów. Trudno było w tej mierze lepiej trafić niż uczynili to warszawscy kupcy od milusińskich rozpylaczy.

Na podwórkach warszawskich ukazały się dzieci w tekturowych hełmach z drewnianymi rozpylaczami i urządziły łapanki i macanki przeciw swoim rówieśnikom. Pewnego dnia mój sześciolatek siostrzeniec padł ofiarą takiej łapanki. Został wylegitymowany, a ponieważ znaleziono przy nim broń (złamany szczyrek), zamknięto go w drewnianym śmietniku, na którym było napisane kredą: „Aleja Szucha”. Miałem niemało kłopotów z wydostaniem go stamtąd. Musiałem zaprosić malców do pobliskiej kawiarni na ciastka i tam po długich pertraktacjach (kieszonkowy kompas, pudełko zapalek, 4 irysy, książka „Duch puszczy”, Mavne-Reide'a), udało mi się siostrzeńca uwolnić. Zdaje sobie oczywiście sprawę, że postąpiłem niemoralnie i niepedagogicznie. Należało malcom wyrwać rozpylacze, pobić nimi bardzo mocno po głowie najpierw rodziców, a potem kupców, dzieci zaś oddać do domu poprawczego.

Nie ma się zresztą co dziwić bezrozumnym dzieciom, których rodzice uważali okupację za wyśmienity teren dla geszeftów, Niemców

zaś za partnerów w realizacji tych dzieł, że oddawały się właśnie takim zabawom. Gorzej było, kiedy zupełnie dorośli ludzie w podobny sposób bawili się w Niemców. Nie mówię oczywiście o ciemnych kreaturach w służbie niemieckiej, charakterystyką tych niech zajmują się protokoły sądowe. Ale Polacy, częstokroć skąd inąd dobrzy Polacy, robili z siebie dzieci bawiące się rozpylaczami. Już to nakładali tyrolskie kapelusiki z piórkami, już to mówili głośno, krótko i rozkazująco, już to wśród podległych sobie ludzi stosowali metody terroru, odpowiedzialności zbiorowej lub stosowali inne zwyczaje niemieckie, głębsi zaś jeszcze i śmielsi siadali nawet czasem na pierwszej platformie tramwajów i drżąc ze strachu i emocji przejeżdżali choćby jeden przystanek. Trzeba przyznać z radością, że od czasu wyzwolenia, objawy tego rodzaju głupoty na ogół zanikają.

Zauważyć jednak można rycerzy spod innej chorągwi głupoty, polegającej również na zabawie w dorosłych.

Zdarzają się ludzie, którzy po pięcioletniej nicości bytowania w reżymie hitlerowskim, otrzymawszy teraz jakieś urzędy czy zajęcia doznają zawrotu głowy. Przyglądają się sobie w lustrze z drżeniem i podziwem, czują się oszołomieni własnym znaczeniem i ważnością. Świat cały wydaje im się niczym, ich wspinała postać dominuje nad kulą ziemską. Nic przeto dziwnego, że z takiej wysokości nie dostrzegają nawet dobrych do niedawna znajomych. Z takim jednym miałem dziś do czynienia i właśnie przypomniały mi się dzieci, bawiące się w dorosłych. Siedział za biurkiem i kiedy wszedłem, mówiąc dzień dobry, nie odpowiedział. Patrzył przeze mnie w pokój i dębał w zębie, zamyślony, potem postukał palcami po stole, wyjął papiery i zaczął pisać, zadzwonił na woźnego i nawymyślał mu z powodu jakiejś historii z atramentem, znów postukał trochę palcami i wreszcie, jakby dopiero mnie zauważył, spytał znużonym głosem, czego sobie życzę. Gdy powiedziałem wesoło: „Serwus” i wyciągnąłem rękę, bardzo chłodno i z niesmakiem przedstawił mi się (choć jeszcze dwa miesiące temu przymilał się często, żeby mu postawić wódkę), a gdy wreszcie zacząłem wyłuszczać sprawę, z którą przyszedłem, niespodzianie nałożył palto i kapelusz i wyszedł bez słowa ze znużeniem, zapracowaniem i poczuciem własnej wartości. Znam takich paru i nie warto moim byłoby o nich mówić, chyba nie to, że bawiąc się w dorosłych utrudniają załatwianie najprostszych spraw.

Panowie, przestańcie się wygłupiać, odrzućcie swoje drewniane zabawki i zacznijcie traktować poważnie siebie i innych.

Zwracam się z tym szczególnie do panów X, Y i Z, prosząc ich, aby nie robili takich głupich min, kłaniali się, odpowiadali na pytania i „by nosa zbyt nie zadzierali, bo łatwo mogą nim o powałę zawadzić”, jak powiedział Mikołaj Rey.

Stanisław Dygat

sche Astrologie”); inny wreszcie wykleił album zdjęciami i zaopatrył je w napisy. Oto „Ordnung muss sein“ (Porządek musi być): niemiecki policjant chwytając za kołnierza Polaka uczy go nogą, jak przepisowo chodzić po ulicy. Oto z datą 3. XI. 1939 „Żydzi burzą pomnik polskiej wolności”: tłum obdartałów w opaskach wysadza posąg Kościuszki; poza polem widzenia aparatu pozostał oczywiście niemiecki zbior, który ich tu przygnał. Obok „Odwet Polaków za zburzenie pomnika Kościuszki”: pożar synagogi podpalonej jakoby przez mściwych tubylców. A dalej zdjęcia rozstrzelanych i mogiły, mogiły... W drugiej części albumu sam zakochany w sobie amator zdejmując się w różnych nastrojach i pozach. Spogląda na fotografię: podpis „Marzenie”; dalej „Wieprzowina” — on je wieprzowinę. „Telefon” — on dzwoni itd., itd. Oto jak powinien wyglądać wzorowy człowiek: telefonować, jeść wieprzowinę i marzyć, a nie — burzyć pomniki, palić synagogi i być rozstrzeliwanym.

*

KRONIKA ZAGRANICZNA

Konopnicka po rosyjsku. Nakładem Państwowego Wydawnictwa Literatury Pięknej w Moskwie ukazały się w przekładzie rosyjskim A. Kowaleńskiego „Utworki wybrane” Marii Konopnickiej. Tomik obejmuje przeszło 100 stronice druku, zawiera wiersze Konopnickiej z rozmaitych okresów oraz urywki z „Pana Balcera w Brazylii”. Przekład staranny, niekiedy wybitny, oddaje charakter poezji Konopnickiej. Poza nielicznymi wyjątkami tłumacz starał się, jak zaznacza w postwowie, zachować w przekładzie sylabiczny charakter polskiego wiersza. Odstąpił więc od zwyczajów, przyjętych wśród większości tłumaczy rosyjskich, którzy stosują z reguły wiersz sylabo-toniczny.

Podobnie jak „Grunwald” Matejki. W maju 1940 roku patrioci holenderscy ukryli przed Niemcami w małym nadbrzeżnym miasteczku obrazy znakomitych mistrzów flamandzkich — Rembrandta, Rubensa i innych. Następnie obrazy przeniesiono do piwnicy w innym mieście, gdzie znajdowały się przez cały czas okupacji. Po wypędzeniu Niemców obrazy wydobyto z ukrycia.

Nexö w Z. S. R. R. Długożwiązku Radzieckiego przybył znany pisarz duński Martin Andersen Nexö. Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej Niemcy zaczęli prześladować w Danii przedstawicieli demokracji. Wszystkie utwory pisarza zostały usunięte z bibliotek, wydawnictwom zostało zakazane drukowanie jego utworów. Nexö został aresztowany, w więzieniu ciężko zachorował. Po wyjściu z więzienia ukrywał się u swoich przyjaciół. Obawiając się nowego aresztowania, uciekł do Szwecji. Nexö pisze obecnie powieść o walce demokratów duńskich z niemieckimi okupantami.

„Czarna Księga.” Komitet pisarzy, uczonych i działaczy społecznych Ameryki pod przewodnictwem Alberta Einsteina i Szaloma Asza przygotowuje księgę o bestialstwach niemieckich nad ludnością okupowanych krajów ZSRR. Niemcy wytepiłi tam całkowicie ludność żydowską. W wydaniu tej księgi biorą udział organizacje społeczne ZSRR, USA, Anglii, Palestyny i innych krajów. W „Czarnej księdze” opublikowane będą materiały dokumentarne: rozkazy dowództwa niemieckiego o tepieniu ludności cywilnej, opowiadania świadków, pieśni, wiersze, dzienniki męczenników ghetta, listy, zeznania jeńców niemieckich, zdjęcia. Kolegium redakcyjne składa się z przedstawicieli różnych krajów. Organizacje społeczne Ameryki reprezentują: Albert Einstein, Lion Feuchtwanger, Szalom Asz, przewodniczący Wszecziwiatowego Kongresu Żydowskiego N. Goldman, dr. Stefan Weiss i inni. Przedstawicielami Anglii są: poeta Józef Leftwicz, prof. Brodecki, naczelny rabin Wielkiej Brytanii dr. Herz i inni. Ze strony ZSRR w skład kole-

gium redakcyjnego księgi wchodzi przedstawiciel Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego: S. Michoels, D. Zastawski, Sz. Epstein, I. Fefer, S. Galkin, D. Bergelson, L. Kwitko, P. Markisz, dr. B. Szymiliowicz i S. Bregman. „Czarna Księga” ukaże się w druku w roku 1945. Będzie wydana w Anglii, USA, ZSRR i Palestynie, po angielsku, rosyjsku, żydowski, hiszpańsku i niemiecku.

Artur Sandauer

100-lecie śmierci Kryłowa. W listopadzie ub. r. minęło 100 lat od dnia śmierci znakomitego bajkopisarza rosyjskiego, Iwana Kryłowa. W Związku Radzieckim uczczono tę rocznicę. W wielu miastach odbyły się akademie, poświęcone pamięci poety. Cała prasa poświęciła mu liczne artykuły. Z tej też okazji Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej przystąpiło do trzymtomowego wydania zbiorowego pism Kryłowa pod redakcją Demiana Biednego. Ukazał się już tom pierwszy, zawierający artykuły i opowieści satyryczne, recenzje i przekłady. Tom drugi będzie zawierał utwory dramatyczne, tom trzeci — bajki, wiersze i t. p. Niedawno ukazał się również zbiór artykułów i wypowiedzi o twórczości Kryłowa, napisanych przez wybitnego pisarza i krytyka rosyjskiego XIX w., W. Bielińskiego. Istotne są wypowiedzi o ludowości, realizmie, języku i artyzmie utworów bajkopisarza. Bieliński pisał: „Swoją prawdziwą tryumf w Rosji osiągnął bajką Kryłowowi. To jedyny i wielki bajkopisarz”. „Kryłow — to był daleki Bieliński — całkowicie wyraził w bajkach rosyjskiego ducha narodowego”. Trzecią książką, jaka wyszła w druku z okazji setnej rocznicy śmierci Kryłowa, jest krótka biografia bajkopisarza i analiza jego twórczości, pióra S. Durylina.

75 rocznica śmierci Aleksandra Herzena, wielkiego pisarza rosyjskiego i przyjaciela Polski, została uczczona w Rosji. Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej wydaje w nakładzie 50.000 egzemplarzy arcydzieło Herzena „Byłże i duma” (Przeszłość i myśli). Wypowiedzi Herzena ukażą się w zbiorze „Wybrane”. J. Elsberg przygotowuje pracę o Herzenie, będącą szczegółową analizą życia i twórczości pisarza.

150 rocznica urodzin A. Gribojedowa. W styczniu b. r. minęła 150 rocznica urodzin znakomitego pisarza rosyjskiego A. Gribojedowa. W Związku Radzieckim uroczystość obchodzona jest rocznicę. Wydawnictwo „Iskusstwo” (Sztuka) przygotowało do druku nowe wydanie znakomitej komedii Gribojedowa „Gore ot uma” (Nieszczęście od nadmiaru rozumu), która została obecnie wystawiona przez trzydzieści teatrów Związku Radzieckiego. Wydanie to oddaje transkrypcję Gribojedowa, jeśli chodzi o wymowę i znakowanie. Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej wydało tę komedię w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. W Leningradzie ukazał się tom utworów Gribojedowa, a S. Pietrow wydał broszurę o jego twórczości. Wszystkie narody Związku Radzieckiego wzięły udział w uroczystościach jubileuszowych. Wiadomo, że Gribojedow wszedł do literatury światowej jako autor jednego utworu, podobnie jak Cervantes z „Don Kichotem” i Defoe z „Robinsonem Kruzoem”.

Książki dla dzieci i młodzieży. Najpopularniejszą w Związku Radzieckim powieścią dla młodzieży jest książka Arkadego Gajdara „Timur i jego drużyna”. Autor zginął na początku wojny radziecko-niemieckiej jako partyzant w walce z Niemcami. W ubiegłym roku rozgłosu nabrała powieść Lwa Kassila „Drody moi chłopcy”. Zarówno powieść Gajdara, jak też Kassila porusza u młodzieży momenty romantyczne, heroiczne. A. Pierwienec napisał dla młodzieży powieść o partyzantach czarnomorskich krajów.

Śmierć Aleksego Tołstoja. W Moskwie zmarł znakomity pisarz rosyjski, autor powieści „Piotr I” i wielu innych, Aleksey Tołstoj.

W Łodzi

W słoneczny, nieomal wiosenny dzień — szpalerem tłumów i domów, szpalerem wznoszonych rąk i okrzyków wkracza do Łodzi n-ta polska dywizja. Idzie piechota, konnica, działa, miotacze min, czołgi. Wrażliwie na zewnętrzność tłumy witają burzliwymi oklaskami kołyszających się sprawnie w takt jazdy kawalerzystów; nawet jeśli który mniej świetnie prezentuje się na koniu, sypią mu brawa — nagrodę pocieszenia. Stary robotnicarz, zasunawszy kaszkiet na tył głowy i podniósłszy lewą pięść, krzyczy niezmordowanie: „Niech żyje Wojsko Polskie”, „Niech żyje Armia Czerwona”. Kobieta obok ociera oczy chustką: „Boże... trzy tygodnie temu palili w Radogoszcu...”

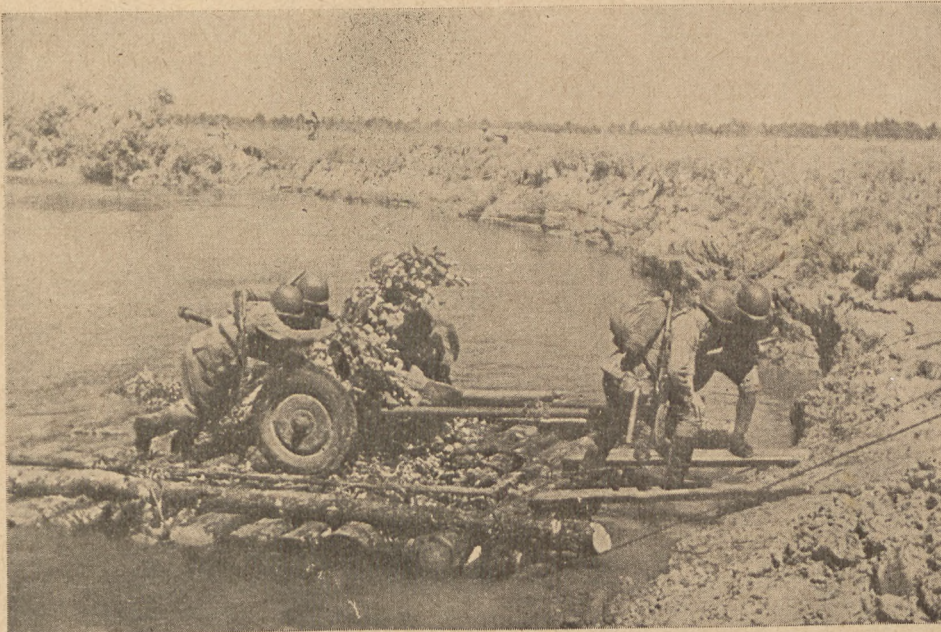
*

Nie ma chyba miasta, które by tak jak Łódź oznajmiało swą polskość barwami. Noszą je przechodnie i domy. Kobieta, której się przyglądam na przystanku, uchyla niby przypadkiem chustki, ukazując schowaną wstążeczkę. Brak jej zdradza Niemca. Przybywom z terenów wschodnich, pozbawionym kokard, przypatrują się tu podejrzliwie: „Ejże, czy nie Niemiec?” Pozostało ich tu — mimo ewakuacji — mnóstwo. Władze co prawda nie zostawiają im wiele wolnego czasu na rozmyślanie o świetnej przeszłości. Mężczyzn od 17 do 50 lat zmobilizowano do pracy przymusowej i przeciągające miastem szeregi zwracają uwagę tych, którzy niedawno szli tak samo, bici, poniewierani, pod grozą Radogoszcu. Sąd specjalny w Łodzi rozpoczął swą działalność skazaniem na śmierć przez powieszenie b. porucznika W. P., który za Niemców pracował w gestapo, w pierwszych zaś dniach po wyzwoleniu wkradł się na stanowisko komendanta obwodu Milicji Obywatelskiej.

*

Osobny rozdział — to mieszkania ponieemieckie. Jak uczony z jednej kości ichtiosaury, tak my z pozostałych tu szczątków usiłujemy zrekonstruować całość codziennego życia Niemców. Obok setek flaszek, tysięcy

posegregowanych z beznamiętną mrówczą pracowitością korków, znajdziecie tu zagadkowe karbowane kółka, osadzone na patykach. To — skrobaczki z napisem: „Wen es juckt, der kratzt sich” (kogo swędzi, ten się skrobie). Życie umysłowe reprezentuje, prócz paru groszowych romansideł, „Mein Kampf” Hitlera, „Die juedische Weltpest” Essera i „Stukas” Schmidta, gdzie autor wywodzi, jak to wskutek polskich prowokacji i prześladowania voiksdeutschów Fuehrer w roku 1939 był zmuszony i t. d. Każdy Niemiec ma oczywiście pasję: ten, który w życiu nie oglądał grochu w stanie naturalnym, roznamiętnia się warzywami i posiada w bibliotece 40 roczników „Der deutsche Garten”; inny czyta z gwiazd losy Fuehrera (60 roczników „Deut-



Forsowanie rzeki

fol. A. Forbert